Nr. 12. Warszawa, dnia 21 (9) Marca 1891 r. Rok XI.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szan. abonentów kwartalnych o odnowienie prenumeraty uprzejmie prosimy.

POLITYKA.

WINDHORST.

Z jakiegokolwiek stanowiska spojrzymy na życie i działalność tego człowieka, niepodobna zaprzeczyć, że był to charakter czysty a umysł niepospolity. W brzydkiem, małem ciele, którego wielka głowa spoczywała niemal bezpośrednio na nogach, tkwił nadzwyczajny talent polityczny. Napoleon I był genialnym wodzem, Moltke również, a jednakże między tymi ludźmi nie ma najmniejszego podobieństwa. Tak samo Windhorst różni się od Mirabeau, Gambetty, Bismarka, od wszystkich polityków namiętnych i rozpłomienionych jakąś ideą, wymownych i porywających. W dzieciństwie odznaczał się takim uporem, że ojciec, nie mogąc sobie z nim poradzić, chciał go oddać do szewca. W gimnazyum jeden z jego nauczycieli wyraził się: „Ta mała szpetna bestya posiada bardzo rozumną głowę niezwyczajnej przenikliwości." Nazwano go Moltkem w polityce. Rzeczywiście, jak słynny hetman niemiecki, posiadał on w wysokim stopniu spokój, rozwagę i żelazną wytrwałość. Nie rzucał się do walki, jak Napoleon, zuchwale, nie pokonywał przeciwników gwałtownym rozpędem, a nie zagrzewał swoich zastępów wewnętrznym ogniem, ale chłodno obmyślał i planował wszystkie szczegóły starcia, czaił się i unikał boju, wyczekiwał stosownej chwili i uderzał wtedy dopiero, gdy miał znaczną przewagę. Porażka nie zniechęcała go, lecz wzmacniała jego upór. Wyszedłszy z rodziny włościańskiej, miał wiele rysów, które odnaleźć możemy w naszym chłopie: zimną krew, przezorność, religijność trzymającą w poddaństwie rozum i rozpostartą na wszystkie dziedziny życia, upodobanie do teokratycznej organizacyi społeczeństwa, konserwatyzm demokratyczny, twardość we wszelkim targu i układzie, miłość dla rodzinnego zaścianka, umiejętność milczenia i pospolitość wyglądu. To też pomimo swojej wysokiej dyplomacyi na zgromadzeniach ludowych czarował słuchaczów, umiał grać na ich uczuciach i przemawiać językiem właściwym. Wysokie stanowiska, jakie zajmował w sądownictwie i rządzie Hanoweru, oszlifowały bardzo subtelnie jego naturę, ale nie zmieniły zasadniczych jej właściwości. Był on ciągle przedystylowanym chłopem westfalskim. W okręgu Meppen, z którego przez lat 20 wybierano go posłem do parlamentu, nie miewał współzawodników, gdyż zapanował zupełnie nad całą ludnością wiejską.

Wiadomo, że tak zwana walka kulturna, podjęta przez Bismarka przeciwko katolikom, zrodziła centrum, stronnictwo, przypominające różnorodnością swych żywiołów w miniaturze Austryę. Od chłopskich demokratów aż do wysokiego możnowładztwa, od bezbożników do klerykałów, wszystkie gatunki mieściły się w tej dziwnej arce. Nie widząc, niepodobna byłoby uwierzyć, ażeby znalazł się człowiek, któryby dłużej zdołał tę mieszaninę utrzymać w karbach i zgodzie. Tymczasem dokonał tego Windhorst. Utworzył on z niej rodzaj spółki komandytowej, na czele której stanął jako uczestnik firmowy. Zdarzały się wypadki, że to stowarzyszenie, spojone klejem religijnym, który nie do wszystkich jego cząstek jednakowo przywierał, rozchodziło się, ale natychmiast wracało do swej poprzedniej łączności. Kierowało niem początkowo kilku przywódców, ale w końcu dzierżył buławę sam Windhorst, który tak hypnotyzował swych towarzyszów, że — jak ktoś się wyraził — gdyby oświadczył się przeciwko tabliczce mnożenia, żądaliby oni wraz z nim usunięcia jej z arytmetyki. Wpływ ten zawdzięczał on swej powadze, rozumowi, niezmiernie pomysłowej i przebiegłej strategice parlamentarnej, a przytem umiejętności osłaniania płaszczem katolicyzmu wszystkich, często sprzecznych interesów grupy, zostającej pod jego komendą. Płaszcz ten był chorągwią zewnętrzną, właściwie zaś chodziło o walkę z samowolą Bismarkowską, o obronę przeciw niej praw przedstawicielstwa narodowego oraz samodzielności państw Rzeszy wobec pochłaniających je Prus. Na gruncie religijnym oparto szeroką, energiczną i wytrwałą opozycyę polityczną. Dzięki swej zwartej organizacyi i dzielnemu przewodnictwu centrum stało się straszną i ostatecznie zwycięzką falangą. Mały Dawid — jak mówiono — pokonał wielkiego Goliata, Windhorst zmusił Bismarka do rozbicia własnemi rękami swego dzieła, do usunięcia praw wyjątkowych przeciw katolikom — i zaprowadził go do Kanossy. Nawet w upadku kanclerza odegrał on jakąś tajemniczą, dotąd niewyjaśnioną rolę. Centrum miało lepszych od niego mówców, ukształceńszych doradców, energiczniejszych działaczów. Mimo to Bismark nie na nich, ale na „małą ekscelencyę" zwracał cały swój gniew, pomimo że Windhorst w swych wystąpieniach nie drażnił nigdy przeciwników osobiście i raczej zakłuwał ich szpilkami, niż uderzał maczugą. Kanclerz bowiem czuł i pojmował, że ten mały człowieczek jest dla niego najgroźniejszy, że go wprawdzie nie zmiażdży, ale stoczy.

Metoda walki Windhorsta polegała na dowodzeniu rządowi siły stronnictwa i gotowości ofiarowania jej w potrzebie za ustępstwa. „Dam — jeżeli dasz," „wszystko brać jako zaliczkę, a nigdy nie kwitować z całości" — oto jego głośno wyznawane zasady. Ile razy w sejmie centrum (a było ono w nim partyą najliczniejszą) rozstrzygało o losach jakiegoś projektu, rząd wie-

dział, że może je pozyskać za pewne wynagrodzenie. Wtedy za kulisami parlamentu rozpoczynały się targi z Windhorstem, który nieraz między jednem głosowaniem a drugiem zmieniał swą postawę i pogląd, zależnie od biegu układów. Taką politykę zamienną z godłem: nic darmo — prowadził od lat wielu, a w ostatnich — z wielkim zyskiem. Nadzwyczaj szybko i zręcznie wekslował tę swoją politykę na najrozmaitsze relsy i poświęcał własne przekonania. W głębi duszy był przeciwnikiem protekcyonizmu celnego, militaryzmu, popierania interesów jednostkowych kosztem ogółu, ale to mu nie przeszkadzało głosować za cłami, za pomnożeniem wojska, za uprzywilejowaniem pewnych stanów. W kołach parlamentarnych opowiadano żartobliwie, ale ze znaczną dozą prawdy, że Windhorst posiada stały cennik, według którego sprzedaje swój głos i swego stronnictwa. Nie czynił on tego nigdy dla własnych korzyści — pod tym względem pozostał bez plamy i cienia — ale ta taktyka nieustannych targów nadawała jego naturze pewną nużącą i nieprzyjemną kameleonowość. A jeżeli pomimo to cieszył się sympatyą i szacunkiem, jeżeli miał przeciwników a nie miał wrogów, wypływało to głównie z jego zobowiązującej uprzejmości w stosunkach prywatnych i bezinteresowności w widokach osobistych. Rzeczywiście pracował, walczył, kręcił, motał, handlował dla dobra publicznego. I jakiż był głównie i *szczerze* ukochany przez niego cel? „Urządzenie katolikom niemieckim wygodnego mieszkania w państwie protestanckiem.“ Żaden kardynał, żaden biskup nie skruszył tyle kopij w obronie Kościoła, jego praw i przywilejów, ile on. Był to najżarliwszy adwokat papieski. Zagrożone swobody obywatelskie znajdowały w nim gorącego rzecznika, ale przeważnie dlatego, że one dawały również osłonę Kościołowi. Windhorst wypowiedział słynną mowę przeciw ograniczeniom wolności, wtedy wszakże, kiedy przez otwarte jej wrota chciał—wprowadzić wygnanych jezuitów. To też katolicyzm stracił w nim niezastąpionego apostoła i bojownika.

A centrum? Nie potrzeba być jasnowidzącym, ażeby przepowiedzieć, że stronnictwo to po jego śmierci rozpaść się musi. Utrzymywane w spojeniu naprzód walką, a po zwycięztwie — szczególnym talentem naczelnego stratega, wkrótce rozłoży się na swe pierwiastki składowe tem bardziej, że przeniknął je od tronu płynący, silny prąd elektryczny, który jedne przyciągnie, a inne odepchnie. Jest to już tylko kwestyą czasu.

Wszystkie gazety niemieckie oddały należący hołd zdolnościom i zasługom zmarłego. Wszystkie jednak — z wyjątkiem klerykalnych — wyznały, że ustąpienie z widowni tego rycerza w średniowiecznej zbroi, zaprawiającego ustawicznie politykę religią, podtrzymującego drugi punkt ciężkości państwa na zewnątrz — w Rzymie, jest dla Niemiec pewnego rodzaju wyzwoleniem. Czczą one go, wieńczą, szczycą się nim, ale — wolą go widzieć w Panteonie, niż w parlamencie.

Z AUSTRYI.

14 marca.

Wyniki wyborów do Rady państwa. — Stanowisko posłów galicyjskich w nowym parlamencie. — Zniesienie stronnictwa staroczeskiego. — Zwycięztwo antisemitów w Wiedniu. — Ks. Lichtenstein i jego zamiary. — Figiel wyborczy.

Skoro w chwili rozwiązania parlamentu austryackiego nowym wyborom przypisywano niezwykłą doniosłość, to dziś każde stronnictwo ma tę świadomość, iż w wewnętrznych dziejach Austryi nastąpił zwrot stanowczy. Póki ster rządu pozostaje w rękach hr. Taaffego, zwrot ten nie zaznaczy się w objawach przełomowych, lecz o tem wątpić nie można, że w najbliższej sesyi parlamentarnej prądy, nurtujące dziś w łonie Austryi, objawią się o wiele silniej, aniżeli w parlamencie ostatnim, złożonym po części ze stronnictw przeżytych.

Rzućmy okiem na wyniki wyborów. Rezultat ich w Galicyi inny jest z punktu jej widzenia, a inny w stosunku do państwa. Podczas gdy w kraju skutkiem nowych wyborów stosunki się zmieniły, stanowisko Koła polskiego w Radzie państwa nie zmieni się zasadniczo. Tam odniosły zwycięztwo stronnictwa skrajne: zachowawcze i demokratyczno-radykalne; liberalne zostało pobite, podobnie jak w Austryi. Jest to wszakże charakterystyczne, że podczas wyborów najmniej rozprawiano o przyszłej polityce Koła polskiego w Wiedniu; przedstawiciele wszystkich stronnictw godzą się bowiem na solidarność wobec rządu i innych grup poselskich. Koło prowadzić będzie dalej politykę utylitarną, z większą może niż dotychczas swobodą w wyborze sojuszników. Korzystając ze stanowiska, jakie mu zapewnia solidarność członków, o ile możności przeciwdziałać będzie ponownemu powstaniu większości stałej, krępującej żywioły w nią wchodzące. Są widoki, że na przyszłość skutecznie będzie ono mogło popierać interesy Galicyi, nie zobowiązując się do łączności trwałej wobec innych grup parlamentarnych. Wpływowi członkowie Koła pragną stworzyć w Radzie większość co do wspólnych spraw państwowych, warując sobie zarazem swobodę działania co do spraw galicyjskich. Jego przyszłą postawę wobec stronnictwa niemiecko-liberalnego zaznaczył były przewodniczący, Jaworski, przemawiając do swych wyborców w Złoczowie. Przewadze niemców oprze się Koło z całą energią; nie będzie jednak stroniło od nich, jak dotychczas, lecz gotowe jest wejść z nimi w sojusz luźny.

Całkowity przewrót stosunków odbył się wskutek wyborów w Czechach. W dziejach państw konstytucyjnych nie zdarzyło się jeszcze tak nagłe i całkowite wyparcie silnego stronnictwa. Staro-czesi przestali istnieć; w dwóch dniach wyborczych zniesiono ich; niedobitki ustąpiły dobrowolnie, rezygnując z kilku mandatów, co do których rozstrzygać miały wybory ściślejsze. Rieger wyjechał do Rzymu i stamtąd piśmiennie złożył nawet godność radcy miasta Pragi; Zeithammer, Mattusz i Zucker zrzekli się kandydatur. Upadło więc stronnictwo, które wyparło się swych zasad, aby dojść do wpływu faktycznego i zostać „regierungs-

---

[1])

Z TEKI HISTERYKA.

I.

Zepsuty klawisz.

...Byłem raz redaktorem i to redaktorem wpływowego dosyć dziennika.

Wiecie panowie, co znaczy być kierownikiem pisma codziennego? Jest to mieć przy biurku wielki, pleciony kosz, w który się rzuca bezustannie przeróżne papiery, zwane rękopisami.

Że żadnych innych kwalifikacyj do tego nie potrzeba, miałem najwymowniejszy dowód na sobie. Choć bowiem podpisywałem się pseudonymem, który powszechnie uznano za nader trafny i właściwy, chwaląc przytem jego zwięzłość: „Nihil,“ to jednak, gdy naczelny redaktor naszego pisma musiał z porady lekarzy wyjechać za granicę, odezwał się do mnie podczas jednej ze stałych mych wizyt:

— Panie Nihil, koniec końców będziesz pan musiał mię zastąpić. Każą mi czem prędzej rzucić robotę w kąt.

Była chwila, kiedym mimowoli zaczął zastanawiać się nad tem, jaka to robota mogła tak bardzo zmęczyć mego chlebodawcę; choć bowiem dużo gadał i dysponował, niewiele pisał, rychło jednak uczułem w duchu całą niestosowność podobnego sceptycyzmu i odrzekłem głosem drżącym ze wzruszenia:

— Z całą przyjemnością, panie redaktorze!

Rumieniec palił mi policzki, serce biło w piersi, jak młotami; nogi niemal drżały pode mną: tak byłem ucieszony i przestraszony naraz—niespodzianem szczęściem.

Odpoczynek mojego zwierzchnika zaczął się na dwa tygodnie przed jego wyjazdem, co spowodowało, że już nazajutrz siedziałem w wygodnym fotelu, który więcej miał dla mnie uroku, niż kurulne krzesła senatorów rzymskich. Starałem się dla wszystkich interesantów, czy to współpracowników stałych, czy też wolnonajemnych przyjaciół naszego pisma mieć wyraz twarzy jak najpoważniejszy. Postanowiłem dźwigać nową godność swą z... godnością. I uważałem z wielkiem zadowoleniem, że częstokroć przybieram nawet minę wprost namaszczoną, co tworzyć musiało bardzo przyjemny kontrast z fizyognomiami kilku starszych literatów, którzy przychodzili od czasu do czasu z rozmaitymi interesami i na wstępie zaraz, ujrzawszy mnie za biurkiem, wesoło się uśmiechali...

Oczywiście zjednałem sobie ich życzliwość.

Nie było u nas atmosfery warsztatu literackiego. Na oknach pstrzyła się istna oranżerya kwiatów i roślin, na ścianach zamiast kwitów, dowodów i kalendarzów, doskonałe sztychy i parę niezłych obrazków francuskich.

Właściwe biuro redakcyjne z sylfami mieściło się o piętro niżej. Zamiast szelestu sunących po papierze piór, najczęściej słyszałem z przyległego pokoju muzykę. To grała na fortepianie dorosła już córka redaktora, zagadkowe blade stworzenie, elegijne i wiotkie, jak wierzba płacząca, z duszą niemą i zbolałą, z ciałem ascetycznych świętych Perugina.

Widywaliśmy się dosyć często na środowych przyjęciach u jej ojca. Mimo to nie znałem prawie jej głosu. Nie wiem, co za ból lub może tylko mrzonki panny wykształconej nurtowały ją, ale zdaje mi się, że jedyną jej mową była — muzyka.

Była w niej prawdziwą artystką. Z początku, zaraz po objęciu przeze mnie urzędu zastępcy, grała nieśmiało, przytłumiając tony silniejsze, jak gdyby w obawie, że mi będzie przeszkadzać. Z czasem pozwalała sobie na etiudy, po których następował istny koncert.

Łamałem sobie głowę nad tem, jakby dać jej do zrozumienia, że jestem melomanem. Prosić ją, żeby grała — byłoby zuchwale i poufale. Wpadłem więc na pomysł genialny — zostawiałem drzwi uchylone.

Skoro w trakcie ćwiczenia się dostrzegła to, podeszła do drzwi, zupełnie prawie otwartych z zamiarem zamknięcia ich. Ja

fähig.“ Młodo-czesi zaś są w gruncie rzeczy jeno odrodzonymi staro-czechami z r. 1848, wyznającymi zasady demokratyczne, broniącymi zasady, że wszelka władza ma swe źródło w narodzie i rozwiedzionymi ze szlachtą feodalną. Mając za sobą lud cały, stają oni do walki parlamentarnej bez układów dokonanych kosztem przekonań; cała racya ich bytu opiera się właśnie na niezłomności zasad demokratyczno-postępowych i na ugiętości zadań narodowych: tem zaciętszy będzie bój, spowodowany przez wstąpienie ich do parlamentu.

W niemieckich krajach korony austryackiej wybory również zmieniły położenie. Zwłaszcza w Wiedniu, po burzliwych walkach, ujrzano wyniki, których się nie spodziewano. Przedmieścia, po raz pierwszy głosujące z okręgami miejskimi, przeważyły szalę na korzyść kandydatów antisemickich. Wiedeń, reprezentowany dotychczas w parlamencie przez samych niemal posłów liberalnych, obecnie wysyła do Rady państwa księcia Lichtensteina, Luegora, Haucka i Schneidera, znanych agitatorów antisemickich. Wszystkie restauracye przedmiejskie zamieniono na obozy wyborcze. Agitacyę prowadzono pieniędzmi ks. Lichtensteina, którego ta batalia kosztowała 150 tysięcy złr.; wynajął on wszystkie przedmiejskie sale restauracyjne na czas wyborów, tak, iż stronnictwo przeciwne nie mogło tam odbywać swych zgromadzeń. Do zebrań, zwoływanych przez antisemitów, nie dopuszczano przeciwników; skoro który z nich chciał wystąpić z przemową, wyrzucano go. Jest to praktyka, wprowadzona w Wiedniu od czasu, kiedy antisemici występować zaczęli w życiu publicznem. Arystokratyczny ich przewódca uszlachetnił tę praktykę, polecając, aby w wypadkach podobnych wyrzuconemu wręczyć na ulicy jego kapelusz i laskę. Antisemitom ułatwiała zwycięztwo ta okoliczność, że przedstawiciele stronnictwa liberalnego za czasów, kiedy byli u steru, skompromitowali się udziałem w operacyach finansowych, skierowanych przeciw interesom drobnego mieszczaństwa. Antisemici zaś ogłaszają dziś jako cel swój główny podniesienie dobrobytu przedmieszczan i drobnych przemysłowców, walkę z kapitałem i żydowstwem, w którego rękach on się skupia. Należy jednak zauważyć, że zwracają się oni wyłącznie przeciw kapitałowi ruchomemu. Dlatego też stronnictwo społeczno-demokratyczne twierdzi, że ks. Liechtenstein wysunięty został przez szlachtę feudalną dla skierowania ruchu socyalistycznego przeciw kapitałowi ruchomemu i odciągnięcia uwagi mas od nieruchomego. Stąd owa uparta dążność tej szlachty do zbratania się z ludem, czyli, jak głosi Liechtenstein, do ponownego podjęcia historycznej misyi, polegającej na opiekowaniu się nim. Splendor herbu książęcego mami lud, który ściskając dłoń Liechtensteinowi, popijając z nim piwo i prosząc go, aby pozdrowił żonę, sądzi, że zbratał się istotnie z magnatami. Książę zaś wyzyskuje zręcznie chwilę oszołomienia mas. Nabył on *Deutsches Volksblatt*, a zwolennicy jego głoszą dziś jawnie, że nie zadowoli się bynajmniej otrzymanym mandatem: pragnie zostać burmistrzem Wiednia. Niebawem nastąpić mają wybory do rady gminnej; antisemici dziś już obliczyli, że na 140 członków przyszłej rady przypadnie 72 przedstawicieli ich stronnictwa, a zatem posiądą oni większość i w tym duchu rządzić będą z ks. Liechtensteinem na czele. Zdaje się więc, że stolica naddunajska, lubująca się w pochodach historycznych, przygotowywa podobny pochód w dziedzinie politycznej.

Na razie po tryumfie ks. Liechtensteina nastąpił epilog humorystyczny. Przeciwnicy jego, po dokonanych wyborach, wystąpili publicznie z twierdzeniem, że mu brak kwalifikacyi przez ustawę przepisanej, tj. że nie jest obywatelem austryackim od lat trzech. Twierdzenie to jest prawdziwe. Ks. Liechtenstein, rozwiódłszy się przed kilku laty z pierwszą żoną, która dotąd żyje, w ubiegłym roku postanowił poślubić pewną bogatą wdowę, pochodzącą ze sfer mieszczańskich. Dla obejścia zakazu kanonicznego młoda para zdecydować się musiała na wzięcie ślubu siedmiogrodzkiego, a Liechtenstein postarał się o poddaństwo węgierskie. Że zaś nie można być równocześnie obywatelem austryackim i węgierskim, przeto dopiero od kilku kwartałów jest on znowu obywatelem austryackim. Stoi więc wobec takiej alternatywy: wypada mu albo przyznać, że ślub jego odbył się według formalności przepisanych, w takim razie wybór jego do parlamentu jest nieważny; albo zaprzeczyć, jakoby zmienił był obywatelstwo, w takim razie nieważny będzie ślub.

S.

BADANIA NAUKOWE.

F. Czerny. *Ogólna geografia handlowa.* Kraków, 1889 *).

P. Czerny, profesor geografii na uniwersytecie krakowskim, kierowany, jak nas powiadamia w *przedmowie*, względami na górujące dziś w całym świecie sprawy ekonomiczne, a w szczególności handlowe oraz na świeżo zakładane u nas szkoły handlowe i przemysłowe, postanowił obdarzyć naszą literaturę podręcznikiem do ogólnej geografii handlowej; a to tymbardziej, że jak sądzi, i słusznie, niemieckie podręczniki szkolne tego przedmiotu nie obejmują ogólnej geografii handlowej, szczegółową zaś traktują tylko jako „zbiór dat geograficzno-handlowych przyczepionych do geografii fizycznej.“

P. C. w pracy swej opierał się więc na obszerniejszych dziełach zagranicznych w tym przedmiocie, a mianowicie:

Andreego *Geographie des Welthanaels.* Neumanna-Spallarta *Uebersichten der Weltwirthschaft.* Scherera *Das Wirtschaftliche Leben der Völker* i Johna Jeats'a *Manuals of Commerce technical, industrial and commercial.*

Mimo to „tuszy sobie“ p. C., że w jego pracy znajdzie się jednak coś oryginalnego.

Treść dzieła p. C. jest następująca:

We *wstępie* zaznajamia nas p. C. z cywilizacyjnem znaczeniem handlu i jego dziejami, określa przedmiot geografii handlowej ogólnej jako „badanie i przedstawienie tego specyalnego stosunku człowieka do przyrody, jaki polega z jednej strony na czerpaniu i wyzyskiwaniu przez niego wszelkiego rodzaju dóbr i zasobów ziemi, czyli mówiąc krócej, na ich wytwarzaniu, z drugiej zaś strony na ciągłej wymianie tych wytworów i ich zużywaniu czyli konsumcyi (jest to właściwie definicya całej geografii ekonomicznej). P. C. dzieli swą książ-

*) Niżej podpisany zajęty opracowywaniem innej gałęzi geografii (fizycznej) nie miał dotąd czasu na przeczytanie obszernego dzieła p. C.; ze względu jednak na rzadkość dzieł geograficznych u nas oraz jeszcze większą rzadkość ich recenzyi w pismach, być może, iż niniejsza recenzya, jakkolwiek spóźniona, nie będzie zby-[illegible]

---

jednak zerwałem się z fotelu, przybiegłem cały w podskokach i rzekłem słodziutko:

— Ach, niech się pani nie trudzi, to mi nie przeszkadza wcale...

Uśmiechnęła się zlekka zmieszana i wróciła do fortepianu...

Zacierałem ręce z radości. Muzyka dodawała mi energii w kreśleniu rękopisów czerwonym ołówkiem, lub też rzucaniu ich do reżerwoaru początkującej literatury.

Nie umiem powiedzieć, co się działo ze mną, gdy posłyszałem pierwsze akordy *Patetycznej* Beethovena, albo którą z rapsodyj Liszta, albo nawet pieśni bez słów Mendelsona. Wiem tyle jeno, że wówczas miałem dla córki mego redaktora szacunek ogromny i uważałem ją za swoją dobrodziejkę. Nie zdawałem sobie dokładnie sprawy z treści wykonywanych przez nią utworów, może dlatego, że je słyszałem już po raz tysiączny w życiu, a może dlatego, że chwilami traciłem prawie przytomność. Epileptycy muszą chyba przed paroksyzmem doznawać tego, co ja czułem — a czułem ból przeszywający w okolicach serca; w skroniach nabrzmiewały mi żyły, dłonie pokrywały się zimnym potem. Ilekroć panna Janina, skupiona cała, zapędzała się w jakiś kwilący wiolin lub dramatyczny bas, ja zapierałem dech. Najwidoczniej była jakaś komunikacya między fortepianem a moją piersią, bo każdy klawisz odzywał się w mem wnętrzu szarpnięciem. Jednak ja bym tej szarpaniny za skarby świata nie oddał.

Szukałem tylko ulgi. Wstawałem i pędziłem wzburzony po pokoju. Chciało mi się raz po raz ryknąć wielkim głosem i gdybym nie obawiał się być zaskoczonym przez jakiego interesanta, pozwoliłbym tego sobie. Płakała więc tylko dusza moja, płakało wszystko, prócz oczów, które płonęły żarem wewnętrznym... Płakała młodość, uchodząca a strawiona na wiecznem łaknieniu... Jęczały wszystkie zawiedzione lub może zdławione tylko nadzieje... Jęczała skarga, że nie mogę uciec od ludzi i świata z przeklętym swym bólem, który mię samego oszukiwał i przybierał maskę zadowolenia.

Bywały chwile, kiedy mię ta muzyka do spółki z własną moją myślą tłukły kołem, a wtedy chciałem przypaść do muru i łeb o niego rozwalić...

Nazwanoby to pewnie konwulsyą, która podobno bardzo często chodzi w parze z histeryą...

A zawsze doznawałem halucynacyj. Oto zdawało mi się, ukołysanemu na parę mgnień spokojniejszem marzeniem, że i ja grać umiem i że tak samo jak ona potrafię rozjątrzyć niezabliźnione rany Chopinem lub Beethovenem. Już w wyobraźni widziałem siebie siedzącego przy fortepianie; już palce moje, pijane rozpaczą, jak ja sam, mknęły błyskawicznie po klawiaturze i wściekłymi tonami rozdzierały mię całego na ćwierci. Ach, co za rozkosz! Ja gram i biedne swe, schorzałe jestestwo topię w melodyi. Oho, jak wyje wyuzdanym szałem „Latający holender,“ jak żałobnie intonują pielgrzymi „Tannhäusera.“ To nie oni, to ja przechodzę kolejno całą gamę katuszy i jak pelikan, rozkrwawiam własne wnętrzności. I cóż ja sobie robię teraz z ludzi i świata? Jestem cały lawiną długo krępowanego wyrzutu, jestem cały słuchem i samego siebie ogromem podsłuchanej swej nędzy przerażam. Aa, co za rozkosz!

Urwała nagle... Ocucony snać z konwulsyj, obtarłem chustką mokre czoło i pomyślałem: Trzeba będzie iść znowu do doktora i wziąć parę „seansów“ elektrycznych. One mi zawsze dobrze robią.

Zasiadłem do roboty, lecz chociaż wziąłem pióro do ręki, poruszać się nie chciało. Myśl była sparaliżowana. Żal cichy, gorzki — bo i w ustach mi zaschło i piołunowo jakoś było — rozlewał się po całem mojem ciele lekkim dreszczem i szeptałem bezwiednie słowa pewnego nieszczęśliwego poety, które wyczytałem niegdyś w dołączonym do jego dzieł autografie:

„O muzyko, muzyko! Chciałbym kochać ciebie, lecz powinienem nienawidzieć — bo ty mię nie kochasz...“

Do doktora jednak nie poszedłem, tylko wałęsałem się godzinami po Łazienkach i starałem się choćby na parę dni wypłoszyć z mózgu wszystkie myśli, a z serca wszystkie uczucia. Wmawiałem w siebie,

kę na dwie części: I zajmuje się środkami, dźwigniami i zaporami handlu, II — przedmiotami handlu. Prócz tego „dodatek“ traktuje o udziale poszczególnych państw w handlu.

W I-ej części autor mówi A) o *środkach handlu*, a mianowicie: *środkach porozumiewania się w handlu* (handel niemy, mimiczny itd.), o *pieniądzach* (handel zamienny, różne gatunki pieniędzy), *środkach transportu* tak naturalnych (człowiek, pies, reń, wielbłąd itd.) i sztucznych (wóz, sanie itd.), *środkach komunikacyi* tak lądowych (drogi karawanowe, oraz ulepszone: szose, koleje, kanały) jak morskie (prądy, kanały morskie, drogi żaglowców i parowców), *środkach korespondencyjnych* (poczty, telegrafy, telefony) *jarmarkach*, *targach* i *handlu obnośnym*. B) o *dźwigniach i zaporach*, a mianowicie o dźwigniach jak: *kolonizacya*, *otwieranie nowych niedostępnych wprzód dla handlu krajów*, *szkoły i towarzystwa geograficzno-handlowe*, *postępy w mechanice produkcyi*, *przepowiednie pogody*; o *zaporach handlowych*, jak *pustynie* lub *góry*, jak *rafy podwodne*, *góry lodowe*, jak *rozbójnictwo* i *korsarstwo*, *klęski elementarne*, *wojny*, *przesilenia handlowe* itd.

W II-ej części — mówi o *przedmiotach handlu*, a mianowicie o *płodach mineralnych* (kruszcach i płodach niemetalicznych), *roślinnych* (spożywczych, narkotykach, włóknach itd.), *zwierzęcych* (wodnych i lądowych), *o człowieku jako przedmiocie handlu* (tu autor kończy uwagą, że nietylko ciało ludzkie, ale przekonania bywają przedmiotem handlu; uwaga ta szczególnie w odniesieniu do Galicyi jest bardzo na miejscu).

Zakończenie obejmuje parę uogólnień całego dzieła oraz udział poszczególnych państw w handlu powszechnym.

Z powyższego choć pobieżnego przeglądu dzieła widzimy, iż treść jego jest niezmiernie bogata.

Kto, wniknąwszy w tę treść; chce wydać sąd o pracy p. C., ten musi wydzielić w niej dwie zupełnie różne strony: *stronę faktyczną* — cegiełki i *stronę rozumującą* — cement.

Co do strony faktycznej to ta jest niezmiernie obfita i cenna, p. C. jest sumiennym i skrzętnym zbieraczem: prócz wyżej wymienionych dzieł korzystał on jeszcze w szczegółach z wielu czasopism geograficznych, ekonomicznych, balneologicznych, rybackich itd. itd. Fakta i cyfry są wszędzie poparte cytatami tak szczegółowemi, że zawierają nieraz nawet aż potrójne miejsce druku odnośnych dzieł (np. Wien-Pest u. Prag). P. C. cytuje nietylko dla ścisłości, dla stwierdzenia prawdziwości faktów, ale nieraz wprost jako sztukę dla sztuki: ma on zamiłowanie do cytat i chlubi się niemi, ze szczególnem zaś namaszczeniem cytuje siebie samego *). Ponieważ przytem p. C., który lepiej włada językiem niemieckim niż polskim, napisał parę prac po niemiecku, które są prawdziwemi kopalniami faktów i wskazówek bibliograficznych i z tego powodu bywają cytowane nieraz przez powagi, więc nie mamy najmniejszego powodu powątpiewania w prawdziwość niezliczonych faktów, cyfr i cytat zawartych w „geografii handlowej,“ a ta możność bezwarunkowego polegania czyni tem cenniejszemi te wypisy pana C.

Nieliczne bardzo *błędy faktyczne* napotykano tu i owdzie w omawianej książce sprowadzają się przeważnie do lapsuscalami jak np. zaliczenie Rosyi do krajów nieposiadających własnych winnic (str. 370), nazywanie rzeki Msty jeziorem (str. 125). Nienaukowem natomiast jest absolutne łączenie gatunków węgla kamiennego z jego wiekiem (np. na str. 243 i w innych miejscach) albowiem mogły one też powstać wskutek bądź ogniowego bądź tektonicznego (mechanicznego) metamorfizmu. Nazwanie zwierząt „trzecim stopniem *stworzenia*“ jest również nienaukowo i przypomina czasy Cuviera. Przy spolszczaniu nazw zdarza się też czasem panu C. popełniać błędy nie tylko językowe; tak np. wyspy Falkland nazywa Sokolemi, tymczasem nazwa ich pochodzi od lorda Falklanda, nic wspólnego nie mają one z sokołami. Podobnież wyspę Foundland (kraj nowo wynaleziony) nazywa p. C. Nową Fundlandyą, jakgdyby istniała jaka stara Fundlandya.

*) Że charakterystyka ta nie jest bynajmniej przesadną z naszej strony, dowodem, że p. C. wygłaszając najpowszechniej znane rzeczy, typu dwa razy dwa jest cztery, musi zaraz zacytować na poparcie jakąś powagę; tak np. gdy twierdzi iż „żegluga pierwotna musiała być przybrzeżna,“ musi zaraz zacytować Götza; gdy w innej swej pracy mówi, że przewiew powiększa parowanie,“ cytuje na poparcie Mohna, a gdy wygłasza znane również każdemu gimnazíście twierdzenie, że „wysokość linii śnieżnej zależy od temperatury i wilgotności“ cytuje na poparcie z dumą siebie samego, dodając „jak to gdzieindziej wykazałem.“

Jeżeli z jednej strony chwalebną jest rzeczą, że fakty zgromadzone przez p. C. są po większej części prawdziwe, to z drugiej żałować trzeba, że wiele z nich nie ma żadnego związku z geografią i chyba dla powiększenia obszerności książki zostały wypisane (np. curriculum vitae Lesepsa itd.); a szczególnie, że mało jest takich, coby nosiły na sobie wybitną cechę geograficzną i dawały bezpośrednią strawę dla geograficznego myślenia. Do tej kategoryi faktów zaliczamy np. od Richthofena wzięty fakt, że w Chinach północnych konie i muły są zwierzętami pociągowemi, a w południowych jucznemi, co zależy od geognostycznych i związanych z niemi orograficznych stosunków: Chiny północne posiadają dogodne drogi, południowe górzyste są bezdrożne. Dalej np. w Egipcie bywały (a nawet bywają) tratwy z papirusu lub naczyń glinianych, powiązanych sitowiem (wynika to z braku drzewa podobnie jak tratwy ze skór na Eufracie); że na preryach Ameryki północnej do poruszania wagonów używają czasami żagli (wietrzność i bezdrzewność stepów); że w Australii kolonia Wiktorya odgradza się od Australii Południowej drucianym płotem przed najściem królików. Że w północnych Stanach Zjednoczonych powierzchnia zamarzniętych jezior i rzek przynosi więcej dochodu niż równa powierzchnia najurodzajniejszej ziemi a to dzięki handlowi lodem; podobnyż handel prowadzą: Alaska, Skandynawia, Szwajcarya, Austro-Węgry. Dodamy od siebie, że przez ten olbrzymi wywóz lodu do krain cieplejszych (Stany Zjednoczone północne wywożą około ½ milion tonna rocznie) człowiek zdobywa nowy sposób wpływu na klimat (prócz wycinania lasów, osuszania błot, nawadniania, opalania wielkich centrów fabrycznych); mianowicie lody jeziorne, topniejąc na miejscu, zużywają bardzo wiele ciepła i stąd obniżają temperaturę lata; wywóz ich na wielką skalę usuwa lub przynajmniej zmniejsza ten obniżający wpływ, albowiem przyjąwszy za podstawę tylko wyżej przytoczoną cyfrę ½ miliona tonu i zważywszy, że dla stopienia 1 kg. lodu potrzeba 80 kaloryi, otrzymamy olbrzymią ilość zaoszczędzonego ciepła, mianowicie:

$$\frac{1000000}{2} \times 1000 \times 80 = 40000000000 \text{ kaloryi.}$$

Ilość ta jest w stanie 400000000 litrów wody z temperaturą 0° doprowadzić do temperatury wrzenia.

że mię zajmują spotykani po drodze ludzie, że mię bawi ruch i zgiełk i przepych niewiędnącego jeszcze lata z jego drzewami, murawą i śpiewającem ptactwem...

Po kilku dniach wypadła w redakcyi ważniejsza robota. Ukończyłem ją jednak dosyć szybko i mógłbym był iść do domu wcześniej, niż zamierzałem. Nie poszedłem jednak, a dlaczego? Wstyd mi było wyznać przed sobą, lecz czekałem na zwykłą swą porcyę muzyki. Dręczyło mię wprawdzie z tego powodu sumienie, jak nieuleczalnego chorego, gdy złamie przepis lekarza, ale ten szczęśliwy okres świadomości, w którym wierzy się jeszcze w hygienę i lekarza, u mnie należał do bezpowrotnej przeszłości...

Niedbale rozpieczętowywam listy i ziewam, wyciągnąwszy nogi na całą ich długość. Aha! Już słyszę, jak ktoś otwiera drzwi do salonu. Pewnie panna Janina. Od stóp do głowy przeszło mię rozkoszne mrowie, jak starego lubieżnika na widok pięknego ciała kobiety. Dziś upodobała sobie Schumana. Perły sypią się z pod jej palców i roztaczają dokoła woń łagodnej, poetycznej melancholii. Oto jest i „Manfred.“ Ulubiona moja melodya się zbliża. Już, już za chwilę zamajaczeje przede mną Astarte. Zakipi wewnętrzna burza moja, zakłębi się w głowie huragan żalu... A to co takiego? Pieśń urwała się nagle i popłynęła dalej bez efektu. Znowu się urwała i znowu popłynęła. Panna Janina zdumiona widać jak i ja. Bierze energicznie parę akordów — to samo wrażenie, nie dysonansu, lecz próżni, upartej, irytującej w pewnem miejscu nicoty.

Ja w najlepsze mknąłem uchem do najwyższego okrzyku cierpienia, a tymczasem ktoś mi ten kulminacyjny punkt odebrał. Dziwnie męczący głód... Słucham i słucham dalej. Melodya najwidoczniej pokawałkowana, śmieszna, jak gdyby jąkająca się, jak gdyby ktoś wlazł między struny i łykał raz po raz pewien wysoki ton.

Najwidoczniej w świecie zepsuł się klawisz i to akurat ten, co nadawał siłę i wyraz skargom i spowiedziom. Czułem, że gdybym był wtenczas w salonie, roztłukłbym na miazgę tego krnąbrnego psotnika. I panna Janina waliła weń namiętnie. Nic nie pomagało: odpowiadał z cicha, matowym, suchym, bezbarwnym dźwiękiem.

Mimo to jednak grała dalej, w nadziei pewnie, że go przywoła do porządku, ale owo przeklęte *c* czy *d* odbierało muzyce cały jej balsam. I w duszy więc mojej została nietkniętą jedna struna, ta właśnie, co najpotężniej łaknęła drżenia i najbardziej pragnęła być trąconą. Czułem czczość niewysłowioną...

Z nieodstępną myślą o niemym klawiszu, wyszedłem do przedpokoju dowiedzieć się, czyje głosy słyszę stamtąd. To z lokajem rozmawiał jakiś interesant. Zobaczywszy mię, zwrócił się skwapliwie i spytał, czy mogę mu poświęcić trochę czasu.

Chciałem był co prawda iść za przykładem bogów, tj. redaktora mojego i innych, i powiedzieć mu, że... nie ma mię w domu, ale żal mi się go zrobiło; tożem ja tę postać sam już przyjmował ze trzy razy; no a pewnie nie jeden tuzin wizyt złożył on naszej redakcyi.

Dosyć zresztą lubiłem twarz tego człowieka i niemałą czerpałem stąd rozkosz, że go przyjmować mogę, namaszczony redaktorską powagą. Czyż to nie tryumf widzieć przed sobą literata, niewiele młodszego, z pewnem onieśmieleniem w ruchach i postawie, przybywającego do mnie, jako do wyroczni, co ma sądzić jego poetyckie pokusy?

Ktoś, nieznający go, spojrzawszy na bladą, wyniszczoną nieco twarz, na troskę malującą się w oczach, wziąłby go może za jednego z tych wykolejonych, co przychodzą po robotę, po „pożyczkę“ z tytułu koleżeństwa na księżycu, a wreszcie po dziesiątkę na „śniadanie.“ Ale w pełnem świetle gabinetu uderzała zaraz nad znękanemi skrońmi bujna, swobodnie wijąca się do góry czupryna, która nadawała wyraz pewnej swobody, rzekłbyś fantazyi dalekiej od ubóstwa.

A i ubrany był dosyć zamożnie, nie elegancko, nie szykownie, z pewnem raczej zaniedbaniem, z którego wyczytać można było nawyknienie do dobrej odzieży.

Był to pisarz zdolny i ognisty. Znano go prawie powszechnie z dużej inteligencyi

Co do strony rozumowej książki p. C. to niestety, suum cuique, nie możemy jej oszacować na równi ze stroną faktyczną: zamiast głębokich praw, zamiast pouczających związków między działalnością człowieka i przyrodą czytelnik napotyka tutaj z małemi wyjątkami (np. geneza jarmarków, korsarstwa) banalną gadaninę, powtarzanie w kółko aż do znudzenia twierdzeń takiego typu jak: woda jest mokra, ogień parzy itp. Mógłby mnie ktoś posądzić o przesadę, przytaczam więc na dowód wiązankę próbek: „siła wiatru ginie z każdem ustaniem ruchu powietrza“ s. 285 (któżby się bo tego spodziewał!). „Zawsze owocem pracy jest pewien wytwór.“ „Produkcya poszczególnych krajów bynajmniej nie jest jednaka.“ „Użycie czółen lub łodzi jest ograniczone tylko do rzek“ (w przeciwstawieniu do lądu suchego). „W różnych studyach kultury niejednakowemi rozporządzał człowiek środkami.“ “Ulepszone środki komunikacyi dadzą się podzielić na więcej ulepszone i mniej ulepszone.“ „Korek, poucza nas p. C., służy do zatykania wązkoszyjnych naczyń wypełnianych płynami“ i stąd wyprowadza logicznie prawo (i p. C. uznaje potrzebę praw w geografii): „dopiero z rozpowszechnieniem się flaszek szklannych wzmogła się niezmiernie potrzeba korka.“ Szkoda, że do tak zawiłego prawa nie dodał p. C. wstępu: „nie powinno to być dla nas niespodzianką,“ takiego bowiem zwrotu używa przy twierdzeniu, że szyny kolei idą najgęściej w Europie (s. 155); p. C. gotów jeszcze powiedzieć: nie powinno to być dla nas niespodzianką, że np. francuzi mówią po francusku! W podobnym sensie rozwodzi się też p. C. szeroko i wkółko nad tem, że ze wzrostem produkcyi wzrośnie handel, że na rozwój handlu wpływa rozwój kolei, że kolejami prędko się jedzie, że one ułatwiają dowóz towarów, że te stają się wskutek tego tańsze itd. itd. Nie dość mu tych banalności w ciągu całej książki, rekapituluje je prócz tego na końcu książki, jako „niezbite prawa“ do których doszedł na jej podstawie; prawa te są takiego rodzaju: a) „stopniowe udoskonalenie się środków handlowych“ b) „stopniowy postęp w mechanice produkcyi c) „stopniowy rozrost stosunków handlowych“ d) „stopniowe wzmaganie się produkcyi“ e) „różnorodność płodów w różnych okolicach ziemi“ itd. *Prawa* takie zna każdy od czasu przyjścia do używania rozumu.

Wobec tych i tym podobnych banalności nie pozbawionym komizmu kontrastem jest olimpijska powaga p. C.: jak już wspomnieliśmy co chwila cytuje on sam siebie i jak w tej tak i w innych swych pracach lubi używać takich wyrażeń jak „naszem zdaniem,“ „jak to gdzieindziej wykazałem“ (że dwa a dwa jest cztery!), „kto jest geografem fachowym,“ „komu nie tajnem“ i t. d.

Naturalnie, że jak w pierwszej kategoryi faktycznej wierne trzymanie się cytowanych źródeł uchroniło pana C. od błędów faktycznych tak tutaj banalność twierdzeń uchroniła od *błędów teoretycznych* (brak błędów jednak jest dopiero zerem na termometrze zalet). Tylko wyjątkowo tam gdzie p. C. zaczepi o kwestyę matematyki, choćby najelementarniejszej, traci grunt pod nogami i popełnia błędy nie do uwierzenia; tak na str. 87 czytamy: „floty handlowe uskuteczniają swój transport na drogach o tyle dłuższych (od kolei żelaznych) o ile powierzchnia oceanów jest większa od powierzchni lądu suchego (stosunek $2^3/_4$:1)“; na tej podstawie p. C. przeprowadza rachunek. Pomijamy już niezbyt wogóle szczęśliwą samą ideę tego porównania (albowiem długość dróg przez części oceanów między lądami nie potrzebuje być zależną od wielkich obszarów oceanicznych leżących po za lądami i nie uczęszczanych przez okręty handlowe), ale czysto formalnie porównanie to zawiera najelementarniejsze błędy: najprzód używanie wyrazu „o ile“ dla oznaczenia stosunku geometrycznego (ilorazowego), a powtóre nieznajomość tego twierdzenia planimetryi, że linie mają się nie w stosunku powierzchni lecz pierwiastków z powierzchni *). Z pewnem zdziwieniem wyczytaliśmy, że p. C. przyczynę prądów morskich przypisuje wiatrom, a ze zdziwieniem dla tego, że jeszcze niezbyt dawno p. C. w recenzyi naszej geografii rozumowej“ poczytał nam to samo za grzech — widzimy stąd że p. C. użył tego krótkiego czasu z korzyścią dla uzupełnienia swej geograficznej wiedzy, co znów w dalszym ciągu dowodzi, że jest on ostrożniejszym i sumienniejszym w pisaniu własnych książek niż w recenzyi cudzych. Zachwyty p. C. dla wolnego handlu w sensie Adama Smitha wychodzą już wprawdzie po za zakres geografii, w każdym jednak razie sądzimy, iż poruszając tę kwestyę, należało nadmienić, że wobec ustroju kapitalistycznego wolność ekonomiczna jest wolnością rabunku jak tego dowiodła panująca obecnie w nauce realistyczna szkoła ekonomii politycznej; zresztą p. C. jest widocznie zatwardziałym „liberałem“ w ekonomii, wymaga bowiem nietylko aby robotnicy pracowali u swych „chlebodawców,“ ale żeby jeszcze byli za to dla nich „wdzięczni“ (!) (str. 261).

Na *zakończenie* musimy jeszcze wspomnieć o wspólnych obu stronom książki pana C. a bardzo licznych *błędach i barbaryzmach językowych*: spotykamy się tu z iście galicyjskim żargonem: „zasystowanie,“ „delikatesa,“ „illuzoryczny,“ „populacya,“ „areał,“ „domokrąstwo.“ „tysiączek,“ „zderzenie“ (np. „zderzenie się człowieka ze pszczołą“), „przychodzi“ w znaczeniu napotyka się, np. „piryt kobaltowy przychodzi (niby z wizytą) w towarzystwie pirytu niklowego.“ Wonne korzenie nazywa p. C. „pieprzykami,“ zapożyczając się zape-

*) Podobne dowody braku elementarnego matematycznego wykształcenia spotykamy i w innych pracach pana C. Tak np. w recenzyi naszej „geogr. rozumowej“ zarzucał on nam, że nasze przyrównanie obiegu rocznego ziemi do ruchu procy jest niefortunne i w zasadzie błędne“ (*Biblioteka warszawska*); tymczasem jest ono i fortunne i w zasadzie nie błędne. Albowiem 1° zasadniczo błędnem nie jest ponieważ jak ziemia tak i proca poruszają się pod wpływem dwóch jednakich sił: siły rzutu i siły przyciągania, a jak uczy mechanika ciało pod wpływem tych dwóch sił musi obiegać po jednem z przecięć ostrokręgowych, po którem zaś z nich to zależy tylko od stosunkowej wielkości obu tych sił. Tym sposobem kołowy obieg procy *zasadniczo* nie różni się od eliptycznego obiegu ziemi. 2° przyrównanie to nie jest „niefortunne“ to znaczy nie jest nie praktyczne w metodzie nauczania, ponieważ mimośród drogi ziemskiej jest tak mały, że największa nawet rysunkowo przedstawiona droga ziemska na oko od okręgu koła odróżnić się nieda: jeżeli mianowicie nakreślimy koło o promieniu nawet 1m. to elipsa drogi ziemskiej w punktach największego odchylenia od okręgu koła, to jest na końcach osi małej, oddali się od niego tylko na $1/_7$mm, czego oko nie zauważy. Dla przedstawienia więc drogi ziemskiej nie pozostaje nic innego jak zakreślić koło (Ob. Martus Astronomische Geographie s. 218). Nawet w obliczeniach astronomicznych jak np. w obliczeniu siły ciężkości na słońcu, dostatecznem jest uważanie drogi ziemskiej za kołową; może się o tem przekonać p. C. z meteorologii Sprunga (s. 6, 7). którą pragnąłbym panu Czernemu jako platonicznemu zwolennikowi i amatorowi matematyki, jaknajgoręcej polecić.

---

i z tego, że się rzucał na wszystko, gdzie można było piorunować; drwił, wyśmiewał, mędrkował uzbrojony w formuły i abstrakcye, zadzierał z każdym. Niejednemu sprawił lanie, od niejednego dostał cięgi i w swem zawadyactwie nie ostygał ani o jeden stopień. Nawet dla pobieżnego psychologa widocznem było, że szło mu o wypowiedzenie się, że miał w głębi ducha jakieś zapasy własnej, osobistej treści, której kęsy przyczepiał do każdego artykułu. Przy lada sposobności, często bieżącej, ział ogniem, deklamował z zapałem; uniesiony uczuciem, odbiegał o całe morza od swego przedmiotu. Nawet ja, hebesowym swym rozumem odgadłem, że mu nie dziennikarstwo i nie krytyka w głowie.

Zresztą czegóż się mam tą przenikliwością chwalić? Powiem odrazu, że mię do tajemnic swych przypuścił, przysławszy kilkakrotnie parę próbek lirycznych i dramatycznych utworów. Wyznał mi w rozmowie, że nie ma nic marniejszego pod słońcem, jak przejeżdżać się po cudzych karkach albo babrać się w piśmidłach nędznych autorów, że tam, gdzie tylu „idyotów“ i tyle „idyotek“ bredzi bez sensu, bez serca i rozumu, miałby przecie i on prawo zabawić się w poezyę.

Zachowałem wobec tego znaczące milczenie, bo wiedziałem dobrze, że pierwsze płody jego redaktor mój, bez ceremonii — zwracał mu, pod pozorem, że dla naszego dziennika rzeczy to zbyt ciężkostrawne i za smutne.

— Z całą chęcią — mówił — pomieściłbym coś pańskiego, ale gdyby to była dajmy na to jaka humoreska, coś... swawolnego...

Chlebodawca mój wiedział doskonale, że Smerecki tak się nadaje do figlarności, jak słoń do wyrobu koronek.

Do mnie zaś odezwał się raz ze śmiechem.

— Jaki ten Smerecki głupi! Chce, żebym drukował jego nowele, kiedy dotąd nie napisał ani jednej. Zepsuje sobie tylko renomę krytyka i mnie ośmieszy.

— A może to i nie taka nędza—odparłem trwożliwie, poprostu dlatego, żeby się z czemś odezwać i dowieść, że umiem podtrzymać rozmowę z taką znakomitą osobą.

— E, co za gadanie! Tu, panie, chodzi o firmę, a on przecie firmy poetyckiej nie posiada. Jeśli ją sobie chce wyrobić, to nie moim kosztem.

— No, naturalnie, to samo się rozumie, pośpieszyłem zakończyć, skonfudowany nieco owem „co za gadanie?“ — i w obawie usłyszenia dosadniejszej nieco definicyi moich wywodów.

Jednak powodowany ciekawością wielką, a może więcej jeszcze instyktowną sympatyą dla Smereckiego, poprosiłem raz swego szefa, aby mi pozwolił odrzucone rękopisy przejrzeć.

Przeczytałem je skwapliwie i... czy uwierzycie państwo, doznałem pewnego „wrażenia. Nie mogę powiedzieć, ażeby mi owe późne owoce tak bardzo smakowały, bo nie było w nich prawie żadnego artyzmu, ale z wielu miejsc przebijała dusza djablo namiętna, widocznie dręcząca się w kleszczach języka, dusza, której gdyby dano swobodę i odwagę, trysnęłaby może jak fontanna motywów silnych, posępnych, odczutych, ale jak dotąd rozsypywała się ledwie luźnemi paciorkami, w których dużo było barw, a żadnego skupienia, żadnej umiejętności układania efektów, żadnej, słowem, kompozycyi. Natura pokrewna mogła odczuć ich wartość, zaś każdy inny od początku do końca czekałby czegoś, co chwila przygotowany na wstrząśnienie i — nie doczekałby się... Czułeś w każdym opowiadaniu, że kroi na dramat — dramatu jednak nie było. Nie podobna łudzić się, w takiej formie debiuty Smereckiego wzruszyłyby, ale tylko ramiona czyjeś, a nie serca.

Chociaż więc miałem mojemu redaktorowi za złe, że zniechęca Smereckiego, nie mogłem nie przyznać mu słuszności, jeśli nie w pobudkach, to w samej odmowie.

(D. n.)

wne od kuryerkowych erotycznych poetów. Razi też u pana C. ciągłe powtarzanie pewnych ulubionych zwrotów jak „ręka w rękę“ „i słuszna“ „i nic dziw“ „nie szukać tam,“ „nie znaleźć“! itd., które w połączeniu z ogólną ociężałością i nieudolnością stylu niezbyt uprzyjemniają lekturę „zwięzłego“ dzieła (np. handel zawdzięcza racyę bytu wrodzon*emu* każd*emu* człowie*kowi* po*pędowi* do pomnoż*enia* swych zasobów materyalnych czyli swojego mi*enia* str. 1).

Niekorzystny to zaiste objaw dla polskiej umysłowości, że śród autorów aż nazbyt często napotyka się dwa typy: jeden to typ próżniaka, blagiera z umysłem nieznużonym studyami, więc lotnym i sprytnym; dzięki tym własnościom typ ten dostarcza nam najwięcej błędnych pośpiesznych uogólnień. Drugi to typ mola książkowego z umysłem bez inicyatywy ociężałym, gubiącym się w szczególikach, niezdolnym do uogólnień. Niezależnie od możliwych przemian tych typów w ciągu życia, lecz ze względu na ich produkcyę umysłową w danej ich fazie, lepszy już jest typ drugi: daje on nam przynajmniej obfity materyał faktyczny, ułatwia mozolne szperanie, zastępuje projektowane biuro, mające uczonym dostarczać wypisów na żądanie.

Z tego stanowiska uważana książka pana Czernego zasługuje na gorące zalecenie: przemysłowiec, handlarz, nauczyciel, dziennikarz itd. znajdą tam wprawdzie mało idei, ale niezmiernie wiele pracowicie i sumiennie zebranego materyału.

Wacław Nałkowski.

STATYSTYKA UZDOLNIEŃ LITERACKICH.

W zakresie badań psychologicznych wchodzi w użycie szczególna metoda zbierania materyału. Ktoś, chcący zgromadzić odpowiednie fakty, wypracowywa stosowny kwestyonaryusz i rozsyła go w różne strony. Materyał napływa zwolna i badaczowi pozostaje jedynie go sprawdzić, uporządkować i wyciągnąć z niego możliwe wnioski. Niedawno badano tą drogą częstość przywidzeń i halucynacyj, później objawy „nieświadomego“ myślenia; obecnie psychologiczne towarzystwo paryskie w ten sposób zbiera wskazówki co do dziedziczenia uczuć i popędów. Mamy właśnie zdać sprawę ze świeżej książki Jerzego Baintona: *Sztuka pisarska* *), której autor za pomocą kwestyonaryuszów zebrał statystykę uzdolnień literackich, mianowicie co do wyrabiania stylu. W tym celu zwrócił on się do mnóstwa osób, znanych ze swej twórczości pisarskiej. Powieściopisarze, autorzy książeczek ludowych lub dziecinnych, przyrodnicy, jak Haeckel lub Tyndall, historycy lub filozofowie, krytycy — najrozmaitsze postacie przesuwają się przed czytelnikiem w książce Baintona i wypowiadają swoje doświadczenie, lecz wszystkie władają stylem znakomicie. Zresztą badacz angielski nie podaje treści rozesłanego kwestyonaryusza, zaznacza tylko, że otrzymał odpowiedzi od 176 literatów i uczonych, przeważnie angielskich i amerykańskich, które przytacza.

Odpowiedzi te uporządkował w sześciu rubrykach, podług następujących pytań: Czy dobry język jest rzeczą nabytą lub też właściwością wrodzoną? Czy doskonalenie stylu odbywa się bezwiednie lub też jest płodem celowego i świadomego ćwiczenia? Jaki wpływ czytanie wzorowych autorów wywiera na styl? Trzy inne jeszcze rubryki są jedynie rozwinięciem ostatnio wymienionej i dotyczą prostoty i jasności wykładu oraz zachowania oryginalności.

Przejdźmy do rozpatrzenia odpowiedzi. Zwracając się do pytania, czy wytworność języka jest rzeczą nabytą lub też czemś wrodzonem, spotykamy wyrok niemal jednogłośny. Jakkolwiek nikt prawie nie zaprzecza, iż czytaniem pisarzów wzorowych i bezustannem ćwiczeniem można wydoskonalić i rozwinąć swój styl, jednakże wszyscy zgodnie oświadczają, że żadnym sposobem niepodobna go stworzyć, jeśli natura odmówiła komuś jego zarodków. Naturalnie istnieją talenty, jak Bentham lub Carlyle, którzy pomimo że piszą okropnie, są czytywani i przeżyją niejednego wybornego, lecz płytkiego stylistę, pytanie to jednak, poruszone przez Smilesa w książce Baintona, usuniemy z pod rozpatrzenia, jako odbiegające od przedmiotu. Wracamy do rodowodu stylu w rozumieniu samych pisarzów. Niektórzy wprost uważają styl dobry za właściwość dziedziczną, np. Armstrong lub amerykanin Higginson. Powinienby on tedy ujawniać się od samego dzieciństwa. Niektóre odpowiedzi są bardzo ciekawe. Pierwszeństwo damy przyrodnikom, jako posiadającym najwięcej warunków dla wydania sądu naukowego. „Nie otrzymałem najmniejszego wykształcenia literackiego — pisze o sobie znany biolog Haeckel—i nigdy nie troszczyłem się o piękność języka w moich pracach. Czytywałem wogóle mało, najwięcej Goethego, Lessinga, Humboldta, Schleidena, Huxleya i Darwina. Zawsze byłem gotów widzieć w naturze najpierwszą i najlepszą wychowawczynię.“ — „Nie byłem nigdy w takim szczęśliwym lub nieszczęśliwym przypadku — mówi Huxley — żebym miał otrzymywać jakieś wskazówki pisania po angielsku... Każdy autor powinien posiadać swój styl własny. Małpie naśladownictwo Hobbesa lub Gibbona, Addisona lub Defoego nie doprowadzi do niczego; początkujący winien stwarzać sobie język samodzielnie, jak uczynili wymienieni autorzy. Wszyscy oni stali się wielkimi pisarzami, naprzód dlatego, że drogą nauki i rozmyślania doszli do jasnego i dokładnego pojęcia o tym lub innym przedmiocie; powtóre zaś, że sporo dokładali starań, aby te pojęcia wypowiedzieć w sposób, który jaknajlepiej oddałby ich myśl innym ludziom, wreszcie dlatego, że odznaczali się artystycznem poczuciem piękna i miary, które pozwalało im opleść siłę stylu wdziękiem i nie przeniewierzając się rzeczywistości, w pięknem wysłowieniu ukryć ścisłość... Jeśli styl mój posiada jakiekolwiek zalety, wypływa to stąd, że... nie szczędziłem zachodów, aby wyrobić sobie dokładne wyobrażenie o rzeczy i nie cofałem się przed przepisywaniem chociażby po 4—5 razy tej samej stronicy, byleby za pomocą słów wypowiedzieć ściśle i jasno to, co mówię, i nie nadto. Przywykłem patrzeć na wszelkie dodatki retoryczne, jako na największy i najgorszy grzech literacki. Z tego powodu każdy, jeśli posiada głowę otwartą i dokładnie uprzytomnia sobie to, o czem zamierza pisać, przy nieznacznym wysiłku zdoła uczynić zadość pierwszym dwom warunkom dobrego stylu. Co się zaś tyczy trzeciego, jest on niezależny od pracowitości lub sumienności, lecz od wrodzonego artyzmu; nikt też go w sobie nie wyrobi, jeśli nie przyszedł z nim na świat.“ Podobnie stanowczo brzmi zdanie Tyndalla. „Rzeczą nader trudną, nawet niemożliwą dla mnie jest wyjaśnienie tych dróg, któremi doszedłem do doskonałości stylu, podziwianej przez pana w doręczonym mi liście. ...Sposób wypowiedzenia myśli lub ułożenia zdań ukazuje się w umyśle moim tak bezwiednie, że nawet nie mogę skreślić, jak to się odbywa.“

W podobnym duchu udzielono odpowiedzi w zakresie drugiej rubryki, rozpatrującej, czy autor wyrabiał swój styl nieświadomie dla samego siebie lub też czy czynił to z powziętym z góry zamiarem. Większość pisarzów, którzy nadesłali Baintonowi wskazówki, mniema, że jeśli doszli do wytwornego stylu, stało się to bez ich świadomości, poniekąd jakby samo z siebie. Zresztą wszędzie w udzielonych odpowiedziach przebija się pogląd, że jednak trzeba lat całych, aby zdobyć panowanie wszechwładne nad językiem — za pomocą drobnych doświadczeń i rozwijającej się wprawy. Marck Twain najjaskrawiej wypowiedział tę prawdę. Twierdzi on, że jakkolwiek wyrabiał styl swój zupełnie nieświadomie, lecz osiągane doświadczenie dawało mu uczuć swoje wpływy. Umysł, nie zdając sobie z tego sprawy, unikał coraz bardziej wyrażeń bez smaku i dokonywał wciąż troskliwego doboru słów i zdań. Niekiedy autorzy wkładają w opracowanie swego utworu pod względem formy niezmiernie wiele wysiłku. Za wzór wziąć możemy znanego powieściopisarza angielskiego, Collinsa. „Przepatruję swoję dzienną robotę systematycznie dnia następnego z rana i uczyniwszy tu i owdzie poprawki, oddaję do przepisywania; odebrawszy rękopis od kopisty, czytam go i wygładzam powtórnie i dopiero wtedy odsyłam do drukarni. W korekcie poprawiam utwór po raz trzeci i znowu oddaję go do drukarni. Dopiero po czwartem przejrzeniu podpisuję korektę do ostatecznego druku. Po wydrukowaniu powieści w czasopiśmie, wydaję ją w oddzielnej książce. Wtedy przeglądam i poprawiam po raz piąty i ostatni.“ Znany antropolog, Galton, przepisuje po kilkakroć swą pracę; Grant Allen uważnie czyta kilka razy nawet swoje artykuły do gazet. Pewien autor, powieściopisarz amerykański, przepisywał jedną powieść aż siedm razy; inny, mianowicie autorka *Johna Halifaxa*, to samo czyniła 14 razy z niektórymi rozdziałami swojej powieści! Z pośród znanych ze stylu autorek tylko jedna jest przeciwnego zdaniu. „Piszę odrazu i bez namysłu. Zdania powstają w mózgu same z siebie, bez pomocy pisanych słów. Sądzę, że taki sposób tworzenia prowadzi do tem większej żywości stylu, nadaje mu siłę i świeżość. Gdy ktoś pisze z powziętym zamiarem przepisywania utworu, wtedy często rozumuje, że niezręczne wyrażenia będzie mógł poprawić później, w następstwie jednak tego otrzymujemy wykład myśli nierówny i szorstki.“

Z kolei rzeczy wypada nam przejść do tego wpływu, jakie wywiera czytanie klasycznych autorów. Uprzednio musimy jednakże wspomnieć, że wielu pisarzów mniema, iż wytworny styl znajduje się w ścisłym związku z posiadaniem dobrego słuchu. „Pisarz musi posiadać od urodzenia przewyborne ucho i tylko wtedy zdoła ocenić muzykalność słów.“ „Nie bardzo wierzę w zdolności wrodzone, jednakże zawdzięczam wyrobienie dobrego ucha, a następnie stylu gruntownemu wykształceniu muzykalnemu.“ Z tego powodu w odpowiedziach u Baintona bardzo często można spotkać się z radą, iż dla wyrobienia ładnego stylu przedewszystkiem należy czytywać głośno autorów wzorowych. Zresztą wszyscy przyznają znaczenie ćwiczenia. „Żeby dobrze władać piórem — mówi Renan — należy zdrowo myśleć. Dobry pisarz z konieczności jest człowiekiem rozwiniętym, który winien posiadać nie tylko spory zasób zdrowego rozsądku, wyobraźni i uczucia, lecz jednocześnie też być odpowiednio wykształconym. Wewnętrzne właściwości, np. genialność, pochodzą od natury, lecz rozmaitość wiadomości, głębokość pojmowania, wszystko to daje dopiero wykształcenie. W ten sposób należyte wykształcenie jest jedyną drogą do zdobycia dobrego stylu.“ Taine, zaleca studyowanie autorów klasycznych, zwłaszcza starożytnych. W pośród nowoczesnych wyżej niż innych stawia on u anglików Swifta i Macaulaya, z francuzów — Pawła Couriera i Pascala. Studyowanie powinno odbywać się z piórem w ręku. Inni radzą dokonywać tłomaczeń z obcego ję-

*) Bainton, *The Art of Authorship, Literary Reminiscences, Methods of Work, and advice to young beginners.* Londyn, 1890.

zyka lub czytać autorów dawniejszych i przerabiać język ich odpowiednio do wymagań teraźniejszości. Naturalnie, w obec tego że przeważają odpowiedzi pochodzenia angielskiego, owymi klasykami są anglicy (Bacon, Hume, Berkeley, Walter Scott, Bulwer, Thackeray, Ruskin i in.). Tego samego zdania co do wyższości klasyków angielskich jest też i Laveleye. Z pytaniem o wpływie studyowania klasyków związaną jest kwestya prostoty stylu i oryginalności. Jako wyraz poglądów co do pierwszego zagadnienia przytoczymy pogląd historyka kultury i moralności, Lecky'ego. „Autor nie powinien napisać jednego nawet zdania, któreby w jego umyśle nie występowało w postaci jasnej i zrozumiałej; winien on rozważnie dobierać słów, wypowiadających myśl jego.“ Co zaś do oryginalności, wszędzie przebija się przekonanie, że pisarz musi koniecznie posiadać własną indywidualność stylu, podobnie jak ma właściwe sobie rysy twarzy. „Jeśli komu zbywa na oryginalności, wątpię, aby mu czyjekolwiek doświadczenie przyniosło jaki pożytek. Młodzieńcom, chcącym nauczyć się pisać po angielsku w sposób jasny a prosty, poradziłbym czytać Tenyssona i Thackeraya, i następnie ćwiczyć się bezustannie. Ale jeśli bez źdźbła oryginalności chcą dostać się do szeregów zawodu literackiego, dobrym uczynkiem będzie udzielenie im rady, aby zostali na swojem miejscu i nie usiłowali zająć nieodpowiedniego stanowiska.“

K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Oktawiusz Feuillet. — H. Taine, *Les origines de la france contemporaine.* Le régime moderne. Tom I. Paryż 1891.

„Romansista drugiego cesarstwa“ — jak Feuilleta nazywano — umarł. Właściwie mówiąc, należał on do innej epoki. Taine w filozofii, a Flaubert w literaturze — oto istotni przedstawiciele umysłowości szóstego dziesięciolecia, umysłowości na wskroś pozytywnej, zlekka ironicznej i brutalnej, która niema nic wspólnego ze spirytualizmem i sentymentalizmem epoki poprzedniej. Do tej ostatniej właśnie należał Oktawiusz Feuillet, jakkolwiek czasy największego powodzenia przypadły mu w chwili, gdy Napoleon III zanurzył Francyę w błocie ogólnej rozpusty. W tak zwanych „series de Compiegne“ zbierał najzaszczytniejsze swe laury, tam znalazł sobie najgorętsze i najwierniejsze wielbicielki. Wśród nich szukał ideałów i natchnień. Ukazywał nam tylko te „czary,“ które jego arystokratyczne i dystyngowane modele przed nim roztaczały. A więc macie tu całą gamę wyuczonych i konwencyonalnych uczuć z „grande passion“ u dam i „honorem“ rycerskim u mężczyzn. Mieszczański „mariage,“ w którym się obracają jego „grandes amoureuses“ nieznacznie przechodzi z jednej strony w prostytucyę, z drugiej — w cudzołóstwo. Jakie one dystyngowane i arystokratyczne te jego grzesznice! Nic dziwnego, faworyt cesarzowej Eugenii był i jest ulubionym autorem kobiet, które, jak wiadomo, przepadają za wszystkiem co „wzniosłe i wytworne.“ Ale Feuillet umie nie tylko się zachwycać grzechami swych pań — nikt lepiej odeń tego błota nie wyidealizował — ale zarazem delikatnie je skarcić. O, bo to wielki moralista! A więc wierzy naprzód w „szlachetność duszy ludzkiej“ — dobrze myśląca krytyka stawia mu to na pierwszym planie w szeregu zasług. Ładna „szlachetność,“ jeżeli zasłużyła na to, iż bandyta, który w ciągu dwudziestu lat demoralizował Francyę, udekorował mu pierś orderkami. Dla trądu, który zaraził całą epokę, miał Feuillet tylko język w miodzie maczany, ale ani jednego sarkazmu, ani jednego ukąszenia. Za to nikt lepiej odeń nie wyjaśnił, na czem polega „honor mężów i cnota niewiast.“ A więc mąż „szlachetny,“ wziąwszy porządny posag — co najodpowiedniej można zrobić po zrujnowaniu zdrowia i majątku — powinien sobie wychować żonę podług swego gustu i stanąć na straży domowego „ogniska.“ Jeżeli jednak oddana przez rodziców do niewoli kobieta, nie mogąc uciec z więzienia, stara się przynajmniej oszukać swego tyrana, to wszelkie tego rodzaju „skażenie domowego ogniska“ powinno być karane śmiercią. Burżuazya, zasiadająca w sądach przysięgłych, usprawiedliwia wszystkie bez wyjątku morderstwa, dokodane przez mężów „oszukanych,“ gdyż każdy z sędziów co chwila czeka, iż wzięta dla posagu kobieta może mu splamić jego „delikatny“ honor. A ponieważ ten honor wymaga zabójstwa, więc niechże ono będzie bezkarne. Przezorność zawsze ma furtkę. Zapewniwszy sobie w ten sposób „czystość gniazda,“ mąż „honoru“ powinien zająć „stanowisko,“ z którego można bezpiecznie, chwaląc Boga, obdzierać bezbronnych i nieszczęśliwych — nie myślcie, aby to było jakieś brutalne zajęcie (Feuillet brzydzi się wszystkiem, co brutalne), o nie, łączy się ono świetnie z największą dystynkcyą: zagarnianie nadwartości jest to funkcya tyleż naturalna i niepostrzeżona, co i oddychanie. Ale karyera naszym duchowym potrzebom nie wystarcza, a ponieważ nawet Feuillet rozumie, iż monogamia jest instytucyą, będącą w zupełnej sprzeczności z naturą ludzką, więc pozwala na niewinne tylko baraszkowanie z cudzemi żonami, jakkolwiek mogą one być na pół obnażone — w salonie, rozumie się — i na jakąś jedną lub dwie utrzymanki gdzieś w ciszy. Mon Dieu, trzeba przecie zrobić coś dla tej biednej, cierpiącej ludzkości: tyle jest ubogich dziewcząt bez pracy! Doszedłszy w ten sposób do podeszłego wieku, trzeba wrócić na łono rodziny i religii. „La question religieuse est au fond du tout“ — bardzo słusznie zauważył o Feuilletcie Brunetiere, pisząc mu apoteozę *). Tak się przedstawia „honor mężów,“ a teraz przejdźmy do „cnoty niewiast.“ Istotnie „jest na co patrzeć“ — powiedziałby Pankracy.

Wszędzie u naszego „Musseta familijnego“ (Musset des familles) i w *Monsieur de Camors* i w *Julia Trecoeur* i w *Honneur d'artiste* — macie dwa typy. Z jednej strony są tu demoniczne syreny (pani de Campalion) przewrotne, namiętne, sprzedające się starym mężom, których potem oszukują, niszczące domowe „ogniska i gniazda.“ Ale dziwna rzecz, że kobiety te, mające tak silny zapach samicy, wydzielają jeszcze silniejszy zapach ortodoksyi. Jest to rys bardzo trafnie przez Feuilleta pochwycony. Ale dla tych syren, jakkolwiek one mają obok wielu innych powabów jeszcze i wiarę nieskruszoną, jest on zazwyczaj surowy. A jeżeli taka grzesznica wstąpi na starość do klasztoru, to się napewno znajdzie jakiś bogobojny pater, który ją ostatecznie na drogę cnoty nawróci, zwłaszcza, gdy jest bogata.

Drugi typ (de Tecle, de Camors, d'Aymaret etc.) przedstawia wcielenie wszystkich cnót niewieścich: skromna, cicha, wierna żona i kochająca matka. Słowem *domo sedit liberos fecit*—powiedziałby o nich obecnie rzymianin, gdyż przeszły błogie czasy domowego tkactwa. Ideał taki wydawany zostaje za mąż przez mamę i tatę, a raz przeszedłszy się z mężczyzną przed stołem zastawionym amuletami lub pod rozpiętą płachtą, uważa się za jego rzecz i jest także oddaną, wierną i potulną, jak szlafrok. Wprawdzie Feuillet rozumie, iż po kilkumiesięcznym pożyciu ma ona smak lukrecyi i że mąż zwraca się wówczas, jakeśmy to wyżej widzieli, do innych, ale cóż robić — taki już jest porządek! Jej pozostaje tylko modlitwa, nadzieja, iż w przerwach między zmianą dwóch kochanek mąż powróci, i pewność, iż na starość zupełnie do niej należeć będzie. W razie zaś, gdyby pokochała kogo innego, Feuillet wspaniałomyślnie pozwala jej oddać się miłości platonicznej: są więc u niego „ideały,“ które całe życie marzą o jednym, a należą do drugiego. Brunetiere uważa z tego powodu, iż Feuillet dał nam wzory istotnej „cnoty“ i że pessymizm naturalistów, którzy sądzą, iż każda kobieta w takich razach upada, jest niesprawiedliwym paszkwilem na naturę ludzką. Tylko taki idealista, jak Feuillet, wierzący w „szlachetność duszy“ mógł odtworzyć „istotną kobietę.“ Widzimy więc, iż jedynie niesumienni złośliwcy oszkalowali rodzinę i że, jeżeli ona się opiera na miłostkach męża i na miłości platonicznej żony, stanowi ton podstawowy w ogólnej harmonii tego świata, na pociechę „honoru.“ Anielka Sienkiewicza z „Bez dogmatu“ byłaby także i dla Feuilleta ideałem. Ten „romantyzm“ i „idealizm,“ nagradzany zazwyczaj bogactwem i orderkami — nie daremnie Sienkiewicz otrzymuje najlepsze honorarya — jest charakterystyczny dla społeczeństw nierozwiniętych i zacofanych, w których literatura staje na straży instytucyj odumierających i zdemoralizowanych. I podziwiaj tu pisarzy bogobojnych, gdy w większości wypadków żałować należy, iż romantyczne swe trele wygłaszają ustami. Nic dziwnego, że przyszłość będzie dla nich miała tylko zimną i niemiłosierną ironię. Pod względem formy Feuillet jest zazwyczaj wytworny, ale pomimo to romanse jego należą do czasów krynoliny i mają już tylko urok rzeczy na zawsze przepadłych.

Taine przystąpił nareszcie do ostatniej części swych „Początków Francyi współczesnej,“ a mianowicie do „Ustroju nowoczesnego.“ Pierwszy tom, który mamy przed sobą, poświęcony jest Napoleonowi i jego dziełu. Charakterystyka cesarza fizyczna i moralna zajmuje dużo miejsca. Jakkolwiek utrzymany w tonie bezstronnym, wizerunek ten można uważać za przesadny, zarówno w malowaniu złych, jak i dobrych stron. Wybitnym rysem, na który autor główną uwagę zwraca, jest to, iż Napoleon nie był ani francuzem, ani człowiekiem swojego czasu. Jest to Włoch z krwi i ducha, ale Włoch z przebrzmiałej oddawna epoki, z czasów, gdy namiętności nie znały żadnego wędzidła, a zmysł moralny był zupełnie przytępiony w jego istotnej ojczyźnie. Aby zrozumieć Napoleona, Taine każe zstąpić aż do „drobnych tyranów włoskich“ z XIV i XV stulecia. Tak czynili właśnie Stendhal i p. de Staël, charakteryzując cesarza, ale w ich myśli było to tylko przypadkowe podobieństwo. Taine nadaje mu głębszy i faktyczny charakter. „Napoleon pochodzi z wielkich włochów, ludzi czynu z XIV wieku, awanturników, wojskowych, przywłaszczycieli i twórców państw chwilowych: odziedziczył po nich w linii prostej, budowę wewnętrzną, umysłową i moralną.“ To też pozostał przez całe życie istotnym *condotierem.* Widzimy tu zwykłą u Taine'a słabość przypisywania we wszystkiem przeważnej roli rasie.

Napoleon należy do XIV st. dzięki sile i zwinności swej inteligencyi, a głównie dzięki właściwościom swego charakteru. „Jeżeli się przyjrzymy współcześnikom Dantego i Michała-Anioła, to zauważymy, iż daleko bardziej różnili się od nas pod względem charakteru, niż umysłu. Trzy wieki policyi, trybunałów, dyscypliny społecznej, obyczajów pokojowych i cywilizacyi dziedzicznej przytępiły w nas moc i impet popędów wrodzonych; były one wszakże jeszcze nienaruszone we Włoszech z czasów Odrodzenia...“ W późniejszych przod-

*) *Revue des deux mondes,* luty 1891.

kach Napoleona pozostały nietknięte, dzięki brakowi tej dyscypliny społecznej na wyspie Korsyce, a w cesarzu znajdujemy je jeszcze całkowicie. „Działanie jego maszyny nerwowej jest jednakowe u niego i u jego przodków włoskich; nikt, nawet Malatasta i Borgia, nie posiadali mózgu bardziej wrażliwego, zdolnego do takich wyładowań elektrycznych, w którym burza wewnętrzna byłaby dłuższa i potężniejsza, bardziej gwałtowna w błyskawicach i nieprzeparta w uderzeniach.“ Żelazny jego charakter odznaczał się przewrotnością, brutalnością i brakiem zmysłu moralnego. Autor daje nam dwa wizerunki wielkiego zbrodniarza, które misternie są przeplecione. Wogóle Taine bynajmniej nie zmniejsza Napoleona, uwydatnia tylko ponure jego strony.

Przejdźmy obecnie do dzieła cesarza. Rewolucya w ciągu 10 lat dokonywała zamachy względem osób, własności i sumień; wogóle nie była ona niczem innem i był już czas, aby to się raz skończyło. Pewność i bezpieczeństwo sumienia własności i osób — to był krzyk wydzierający się ze wszystkich piersi.“ Żądaniom tym zadość uczynił Napoleon — taki jest pogląd autora.

Dla Taine'a między jednostką, jej życiem psychicznem, a społecznem otoczeniem istnieje związek przyrodzony. Wszelka więc gwałtowna zmiana stosunków wydaje mu się czemś potwornem nie tylko z punktu widzenia moralności, ale wprost — natury. Metoda, badająca rozwój jednostki w ścisłym związku z rozwojem otaczającego ją społeczeństwa, jest wspólną wszystkim heglistom, do których i Taine należy *). Hegel rozpatruje rozwój społeczny, jako rozwój idei odbywający się na zasadzie praw koniecznych. Z tego stanowiska „wszystko, co jest, jest rozumne.“ Właściwie mówiąc, Taine stoi na tymże gruncie. Ale, jak wiadomo, lewica heglistów z Br. Bauerem, Feuerbachem, Maxem Stirnerem, a głównie z Marxem i Engelsem na tym punkcie nie przystanęła. Dwaj ostatni myśliciele zastosowali prawo konieczności i do rewolucyi. Taine pisze apologię „porządku“ i dla tego wielka Rewolucya wydaje mu się czemś nienaturalnem. Po kilkunastoletniem szamotaniu się trzeba było powrócić do „naturalnego porządku“ i to zrobił Napoleon. „Społeczeństwo“ przywołało zbawcę. O teoryi walki klasowej, która przyjście tego zbawcy w zupełności objaśnia, Taine pojęcia niema. W rzeczywistości Rewolucya zrobiła swoje, t. j. zaspokoiła dążenia mieszczaństwa. Gdy stan czwarty wystąpił ze swemi pragnieniami, gdy spisek Baboeufa został wykryty, wówczas burżuazya w strachu przed czerwonem widmem zaczęła się modlić do „silnej władzy“ i Napoleon się zjawił. Z drugiej strony opierał się on jeszcze na chłopstwie. Cesarstwo było logicznem zakończeniem Wandei. Chłop nie może się obejść w świecie duchowym bez księdza, a w świecie politycznym bez panującego. Materyalna siła klas decyduje o losach kraju. Wzamian tego Taine nas traktuje jakąś wolą „społeczeństwa.“

L. W.

LITERATURA NIEMIECKA.

8 marca.

Lotar Bucher i Ferdynand Lassalle.

Drugi tom biografii Lotara Buchera, napisany przez Henryka Poschingera **), zawiera dokumenty i szczegóły, odnoszące się do życia Lassalla, nigdzie poprzednio nie ogłoszone. Ustępy te są bardziej zajmujące, aniżeli życiorys samego Buchera. Kim on był, wiadomo tylko znawcom stosunków niemieckich. Był urzędnikiem pruskim i miał właśnie zostać radcą rządowym, kiedy nadszedł r. 1848. Odegrawszy w ruchach ówczesnych rolę dość wybitną, musiał wyjechać za granicę i przez lat kilkanaście mieszkał w Londynie jako korespondent *National Zeitung*. Znużony tą czynnością i życiem za granicą, poczynił kroki dla uzyskania posady prawniczej w Berlinie. Minister Eulenburg zajął się jego sprawą, a Bismark oświadczył, że gotów jest pomieścić Buchera w biurze ministeryum spraw zagranicznych. W ten sposób były rewolucyonista wstąpił do służby rządowej, a z czasem został prawą ręką kanclerza, który ciętego dziennikarza używał do redagowania najważniejszych dokumentów, wychodzących z jego kancelaryi. Bucher opuścił służbę jako tajny radca legacyjny jeszcze za czasów potęgi Bismarka.

W r. 1861, kiedy wróciwszy do Berlina, objął posadę urzędniczą, znany był jako polityk i ekonomista z broszur, które ogłosił był z Rodbertusem. Kiedy pewnego wieczora w berlińskiem towarzystwie filozoficznem zeszedł się z Lassallem, nie bardzo zrazu rad był tej znajomości, gdyż ostatni w pewnych kołach towarzystwa berlińskiego nienajlepszą cieszył się sławą. Lassalle przeciwnie zbliżył się doń z zaufaniem i starał się o nawiązanie stosunków ściślejszych. Cały przebieg ich znajomości przedstawił Bucher w memoryale, wręczonym Bismarkowi, który pragnął poznać dokładnie stosunek swego podwładnego do słynnego agitatora. Memoryał ten pomieszczony został w biografii Buchera. Jego pierwotna ostrożność wobec Lassalla z czasem ustąpiła. Lassalle zaprosił go do siebie, a w domu jego poznał generała v. Pfuel, tajnych radców Böckla i Tresichsa, słowem, ludzi, których towarzystwo bynajmniej nie było kłopotliwe dla urzędnika ministeryalnego. Przekonał się nadto, że Lassalle pozostaje w korespondencyi z pierwszemi powagami filozoficznemi, a co główna, że stosunek jego do hrabiny Hatzfeld, główny powód zgorszenia powszechnego, był zupełnie inny, aniżeli sobie wyobrażano. Zbliżał się więc Bucher do Lassalla tem chętniej, że w rozmowach z nim korzystał. Obok wielu punktów stycznych, jako główna różnica występowała odmienność przekonań filozoficznych: Lassalle, zwolennik Hegla, wychodził zawsze z abstrakcyi, do której naginał stosunki konkretne; Bucher, dzięki pobytowi w Anglii, opierał się na faktach konkretnych. Różnica ta ujawniła się zaraz w początkach ich stosunku. Lassalle wrócił był właśnie z Włoch, gdzie poznajomił się z Garibaldim. Doniósł on Bucherowi, że wódz włoski na wiosnę 1862 r. wpadnie do Dalmacyi, gdzie wzniecić chce rewolucyę, któraby błyskawicznie przeszła przez Węgry i Wiedeń do Berlina. Lassalle proponował Bucherowi udział w przygotowaniach do tej rewolucyi, w której powodzenie wierzył najsilniej. Dzięki teoryi faz historycznych, przypuszczał, że urzeczywistnienie najbliższej nastąpi jeszcze za jego życia. Bucher przeciwnie sądził, że egoizm pewnych grup społecznych a bezwładność innych spowoduje długi jeszcze opór materyi przeciw idei, że zatem nowych form polityczno-społecznych spodziewać się można dopiero po kilku pokoleniach. W rozmowie odnośnej Lassalle o tyle przewyższał go zręcznością dyalektyczną, że Bucher poglądów swych ani wyrazić, ani obronić nie zdołał. Dopiero nazajutrz listownie wątpliwości swe mu wypowiedział. Lassalle w ciągu owej rozmowy nie wspominał wcale o reformach społecznych, dowodząc Bucherowi, że już na samej drodze politycznej, czyli prawnej, przeprowadzić je można; Bucher zaś, skupiwszy swe myśli, odrzekł, że reformy te byłyby połowiczne, że ograniczyłyby się jeno do zmiany władz, lecz nie zmieniły ustroju ogólnego. Ten bowiem opiera się na organizacyi społecznej, a pragnąc istotnie przekształcić całość stosunków politycznych, sięgnąć trzeba koniecznie głębiej, do podścieliska ich społecznego. Bucher nie wierzył, aby udać się mogła reorganizacya społeczna w czasach najbliższych. Radził zaniechania ruchów gwałtownych, opierając się na zasadzie Macchiavellego: polityka jest wyborem między klęskami.

Odebrawszy takie oświadczenie, Lassalle nie wahał się odsłonić przyłbicę i w odpowiedzi swej, również listownej, przyznał się Bucherowi, że i według jego przekonania kwestye polityczne są jeno wypływami zagadnień społecznych. W rozmowie wspomniał tylko o środkach politycznych, aby umożliwić pierwsze porozumienie się. Obecnie przyznał, że jest socyalistą; w oczach jego zaś był socyalistą i Bucher, doszedłszy do poznania, że na dnie wszystkich starć obecnych leży walka społeczna. Bez wątpienia, że przewroty tak wielkie odbyć się mogą wówczas tylko, skoro dojrzała nowa zasada, mogąca wytworzyć: 1) nową społeczność, 2) nową formę polityczną jako zewnętrzną swą wynikłość, 3) nową etykę. Według Lassalla zaś zasada taka istniała i dojrzała już.

Korespondencya ta nie doprowadziła do porozumienia. Podczas gdy Lassalle rozpoczął agitacyę w nadziei, że dożyje zwycięztwa, Bucher usunął się od czynu. Stosunki osobiste zaś między nimi nie przerwały się, owszem, stały się z czasem tak ścisłe, że Lassalle Buchera mianował wykonawcą testamentu (obok Holthoffa). Testament ten, obok wielu dowodów życzliwości, zawierał tedy dla Buchera obowiązek dość kłopotliwy. Spadkobierczynie, matka i siostry zmarłego, posprzeczały się z hrabiną Hatzfeldt i z pułkownikiem Rustowem. Matka powątpiewała o prawomocności a nawet o prawdziwości testamentu i jako spadkobierczyni *ab intestato* objęła całą spuściznę. Bucher bronić miał woli zmarłego przeciw spadkobiercom naturalnym, a zatem przedewszystkiem praw hr. Hatzfeldowej przeciw roszczeniom rodziny Lassalla. Wolał on jednak spór ten pozostawić kobietom samym. Hrabina, odprowadziwszy zwłoki przyjaciela z Genewy do Düsseldorfu, otoczyła się pamiątkami po Lassallu i coraz bardziej wzmacniała w sobie myśl, iż jest następczynią i wykonawczynią woli jego. Udała się do Wrocławia, aby zmusić panią Lassalle do wydania jej spuścizny. Wreszcie zgodzono się na układ, dzięki któremu hrabinie przyznano wszystko, co Lassalle w testamencie jej przekazał, a zatem rentę roczną w kwocie 1200 złr., a nadto papiery. Papiery te dostały się naprzód w ręce egzekutorów testamentu. Były to dwie wielkie skrzynie, których zbadaniem zajął się Bucher, zanim hrabina Hatzfeld weszła w ich posiadanie. Ostrożność ta nie była wcale zbędną. Skrzynie zawierały bowiem oprócz aktów i korespondencyi, odnoszących się do hrabiny, parę zwojów, zatytułowanych imionami kobiet, z któremi zmarłego łączyły stosunki bliższe. Bucher domyślał się treści. Ogłoszenie ich odnowiłoby pamięć spraw skandalicznych i wydobyło na jaw podobne sprawy, nieznane publiczności. Hrabina Hatzfeld zaś bynajmniej nie miała zamiaru otoczyć tych papierów dyskrecyą przyjacielską. Owszem odgrażała się, że zwłaszcza korespondencyę pewnej kobiety ogłosi bezwłocznie. Wobec tego Bucher przesłał Hatzfeldowej skrzynie puste; a papiery, gwałcąc obowiązek egzekutora testamentu, lecz spełniając obowiązek przyjaciela, spalił.

Ladawa.

*) *Essais de psychologie contemporaine.*

**) *Ein Achtundvierziger.* Berlin, Heymann, 1891.

A. SZYMAŃSKI

(*Szkice*, tom I i II, Petersburg).

II.

W „Jędrzeju Krawczykowskim,“ „Macieju Mazurze“ i „Hanusi“ wątek etyczny uwydatniony jest zarówno w uwagach, jak i w podmiotowym stosunku autora do swych bohaterów. Domyślnym stosunek ten nie jest, przeciwnie, jego szczerość stanowi cechę tych utworów. W trzech wymienionych Szymański ukazuje nam ludzi, którzy spełnili zbrodnię i współczucia swego dla nich nie kryje.

Jędrzej Krawczykowski jest to człowiek prosty i niewykształcony; wydaje się pracowitym, silnym i energicznym. Autor dostrzega w nim piętno człowieczeństwa, niezatarte ciężką pracą, niemile zaś dotyka go widniejące w Jędrzeju hołdowanie pozorom, uwielbienie dla wszystkiego, co choćby zewnętrznie porządne. Instynktów krwiożerczych bohater nie zdradza, życie spędził w znoju, ożywia go widoczna praca myśli. We własnej swej opowieści staje przed nami jako człowiek bardzo powszedni, ze zwykłymi ludzkimi słabostkami. Miał kochankę, ponieważ „kalkulował sobie,“ że nawet Adam nie mógł się obejść bez niewiasty. Był o nią zazdrosny w taki sposób, w jaki każdy pospolity samiec z rodzaju ludzkiego o kobietę, którą za swoją własność uważa. Gdy zaczął podejrzewać ją o niewierność i przekonał się, że ma rywala, nie chciał się z nią rozłączyć, gdyż „ustępować pierwszemu wiercipięcie nie wypadało.“ Postanowił ją wybić, ponieważ „wietrznica jakaś szargać mu dobre imię zaczyna.“ Przy biciu przeliczył się. „W oczach mi pociemniało... zacząłem bić... a ona? taki upór babski, żeby choć słówko do mnie?.. Żeby choć słówko do mnie... Biłem, biłem i... zabiłem.“

Takie dane znajdujemy w przedmiotowej osnowie szkicu. Przejdźmy do wątku podmiotowego. Autor słucha opowieści Jędrzeja z uczuciem wzrastającej nieufności i odrazy, a gdy dowiaduje się, iż zabił on młodą dziewczynę, uczuwa do niego wstręt i nienawiść tak silną, iż, jak powiada, gotów był zabić nieszczęśliwego, zabić moralnie. Ale w chwili, gdy drżeć zaczynał tą gorączką, którą drżał może i Jędrzej, kiedy zabijać zaczął — jedno spojrzenie w jego oczy „czyste i jasne jak woda kryniczna, niewinne i spokojne jak oczy dziecięcia“ powróciło autorowi przytomność. Słowa zaś: skarz mnie Boże tąż samą śmiercią, jeżelim myślał o tem — jakiemi Jędrzej na pytanie: czy chciał ją zabić? — odpowiada, sprawiają, że autor ulega innemu zupełnie wrażeniu.

Widzimy więc w Jędrzeju Krawczykowskim dwa pierwiastki, dające się rozdzielić. Przedmiotowym jest wizerunek człowieka żywego i jego opowieść, posiadająca w prostocie swej i naturalności cechy prawdy i podmiotowy opis przemiany wrażeń u autora. Rzuca to nam światło na naturę talentu jego, a przynajmniej na charakterystyczne właściwości w okresie obejmującym „Szkice.“ Widzimy zatem w Szymańskim subjektywizm, z siłą i prawdą oddający swe wrażenia i dodany do obrazów, przedmiotowo utworzonych, jako pewien rodzaj ich oświetlenia.

W „Macieju Mazurze“ oświetlenie to nie jest tak mocne, jak w Jędrzeju Krawczykowskim, może dla tego, iż obraz przedmiotowy jest sam przez się więcej wymownym.

Staje tu przed nami żywo i plastycznie postać chłopa z nad Narwi, olbrzyma, przechowującego w swych potężnych mięśniach siłę straszną, a w duszy łagodność jagnięcą. W duszy tej jednak tkwi również i krzemień, z którego uderzenie dobywa iskry, a gdy te rozniecą ogień w krwi, rozbudzą drzemiącą w mięśniach siłę, człowiek ten staje się zdolny do wysiłków bohaterskich lub do zbrodni. Krzemieniem owym, którego nic zmiękczyć nie zdoła, jest godność własna, a owe straszne iskry wylatują pod wpływem obrazy tego uczucia. O dwóch takich wybuchach słyszymy w opowieści Macieja.

Młodym człowiekiem, jako chłop pańszczyźniany, do dworu był wzięty. Pan jakoś nie czuł ku niemu sympatyi i — jak powiada Maciej — czepiał się doń, wydziwiał, wymyślał i beształ, jak nieboskie stworzenie. Najdotkliwiej obrażały Macieja dwa przezwiska: „skurcybyk“ i „głupi drongal,“ słuszności żadnemu nie przyznawał, mało kto bowiem przy robocie mu sprostał, a inni ludzie wcale go za głupiego nie mieli. Nie mogąc znosić poniewierki, postanowił czemś panu zaimponować, pokazać, iż takim „głupim drongalem“ nie jest, że przeciwnie są rzeczy, w których tamten mu nie sprosta; chciał żeby przy spotkaniu się ich spojrzeń mógł mu popatrzyć w oczy prosto, wyraziście, jeśli nie z wyższością, to z dumą. I znalazł taką chwilę, zaimponował panu siłą, a może jeszcze więcej tem, iż gdy rękami ująwszy koła karety, nie pozwolił koniom z miejsca ruszyć — na twarzy jego odbił się promienny blask od ognia, jaki w duszy jego obraza godności roznieciła.

Straszniejszy był wybuch drugi, który pracowitą, uczciwą i czystą foremkę Maciejowego życia nad Narwią potrzaskał, a jego samego na brzeg Leny wyrzucił. Bratobójcą stał się Maciej. Brat ów był powodem, że ludzie strasznem podejrzeniem cisnęli mu w oczy, brat ów podmawiał go do rzeczy podłych... Iskra padła na prochy drzemiące w krwi... „krew mi buchła do głowy i zbiegła wraz ze mnie, buchła znowuj i jak zwierz dziki zarycałem i skoczułem na niego... Mówić nie mogem... siłę tylo miałem straśną.“

Jeżeli Jędrzej Krawczykowski i Maciej zawinili chwilowem uniesieniem, to Hanusia jest zbrodniarką prawie już tylko z przypadku. Krótka chwila, w ciągu której obawa wstydu i hańby zapanowała w niej nad instynktem matki, wystarczyła, aby uczynić ją dzieciobójczynią. Chciała ukryć obecność niemowlęcia, rękę na ustach jego położyła, aby kwileniem nie wydało jej i udusiła je bezwiednie, mimowolnie.

Hanusia stwierdza tę prawdę, że im wyższa i szlachetniejsza jest natura człowieka, tem cięższa staje się jego pokuta za błędy. Ogrom przygniatającego ją cierpienia i niezwykła piękność jej duszy tłomaczy nam współczucie, tkliwość, z jaką autor postać swej bohaterki wypieszcza. Ukazuje ją nam w blasku subjektywnego wrażenia i jakichże barw nie używa, aby oddać obraz, unoszący się przed jego okiem. „Niezwykle czuła i wrażliwa, podobna była do owego listka osiny, co drży od najsłabszego wiatru powiewu, ale choć czuły na wszelkie zmiany, wytrzymuje i grunt nieczyzny i szarugi i zimna północy, w obec których karłowacieją i zwyradniają się twarde i mocne dęby.“ Posiada ona w stopniu wysokim wdzięk niewieści, to poczucie piękna i harmonii, które sieje w około zatracone ideały, budząc uczucia zanikające, ogrzewając serca zastygłe. Jest ona artystką w pracy, a przedewszystkiem „wrażliwą na złe i dobre, jak tylko czysta i wrażliwa dusza dziecka bywa.“ Kobiety podobne jej są słońcem, radością, poezyą dla swego otoczenia, w które wnoszą „pragnienia różne i radości nigdy niedoznawane.“ Porównywają do „wyniosłej białodrzewa,“ to znów widzi, jak z natchnionej jej twarzy bije myśl, nie tylko myśl „jak z posągu greckiego.“ W osobie tej dzieciobójczyni kryje się matka najczulsza, zdolna do ofiar i poświęceń. Bo i cóż utrzymuje Hanusię przy życiu? Nadzieja, że gdy skończy pokutę gdzieś i kiedyś, w świecie zagrobowym połączy się ze swem dzieckiem.

W Hanusi jest wiele ustępów ślicznych ogromna jednak przewaga pierwiastku refleksyjnego, podmiotowego, przeszkadza plastycznemu uwydatnieniu charakteru bohaterki. Autor miał niewątpliwie przed sobą istotę niezwykłą, charakter ciekawy i pojął go, jako uzmysłowienie swego wątku etycznego.

Wogóle forma obrazków jest jedna, autor opowiada swoje wrażenia, dodaje do nich czyjąś opowieść i tę ostatnią przeplata uwagami.

Subjektywizm w szkicach powieściowych Szymańskiego dowodzi, iż w tym okresie myśl twórcza piszącego działa gorączkowo; pilno mu przelać na zewnątrz i oddać ogółowi swój dobytek myślowy i uczuciowy, czyni to więc z pewnem zaniedbaniem formy, dba głównie o treść. Opowiada bezpośrednio swe myśli i wrażenia zamiast rozpostrzeć je w obrazie przedmiotowym. Nie przeszkadza to mu tworzyć rzeczy i oryginalnych i artystycznie pięknych; przeciwnie, pod wpływem tej natężonej myśli i uczucia zyskują one niejako piętno natchnienia poetyckiego. Być jednak może, iż z czasem tempo myśli twórczej zwolnieje, praca jej stanie się spokojniejszą, a zwiększony zasób obserwacyi nie da się już pomieścić w ramkach, zacieśnionych subjektywizmem.

F. B.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RUCH EMIGRACYJNY.

Mnożą się ustawicznie niepodejrzane dowody rozczarowania i nędzy wychodźców, którzy w listach z Brazylii ostrzegają krewnych i przyjaciół przed emigracyą. Oto co pisze Karol Wdziękowski z Czystego (pod Warszawą) do żony:

„Fach mój tu wcale nie idzie, więc wziąłem się do zwyczajnej roboty, prosto wożę piasek taczką, aby z głodu nie umrzeć. Wola boska! widać było takie przeznaczenie! Płaczę rzewnemi łzami, kochana żono i ubolewam nad swoim losem. Tu człowiek żyje, jak zwierz jaki. Mowa tu portugalska, księża nic nie rozumieją po polsku. Jest wieczna bieda i straszna gorączka, że uchowaj Boże. Morzem jechałem 26 dni. Ach, użyłem podróży, zachowaj Boże każdego. Teraz proszę cię na miłość boską przyślij mi 50 rs. pieniędzy, tobym resztę dopracował i powrócił do domu, bo podróż kosztuje morzem 100 rubli. A jakby nie było pieniędzy w domu, to proś pana Osuchowskiego, aby był łaskaw pożyczył. Upraszam cię na miłość boską, jeśli tego nie zrobisz, to tu zginę jak mucha. Proszę cię, powiedz każdemu, aby się nie ważył jechać do Brazylii, bo się zmarnuje, postrada dzieci i żonę i sam zginie. Niepodobna opisać tego wszystkiego. Zarabiam bardzo nędznie, a życie tu bardzo drogie; bułka jedna, co u nas 2 gr., to tu 20 groszy, kartofli jeden funt 40 groszy, więc niewiadomo, jak żyć na bożym świecie. Trzeba ciężko pracować, aby zarobić choć na podróż, ale to będzie bardzo trudno. Będzie to opatrzność Boga i wola Jego, aby powrócić, proszę Pana Boga o zdrowie i o zwycięztwo, abym mógł jeszcze kiedy was oglądać.“

Najpomyślniejsze doniesienie, jakie z Brazylii doszło, a przynajmniej ogłoszone zostało (w *Gazecie warsz.*), pochodzi od niejakiego Bolesława Widlińskiego, szewca z Płocka. I ten się skarży na swój los, ale ma robotę.

Do potoku emigracyjnego niesie swe męty niecny handel dziewczętami. *Kuryer warszawski* ogłosił kilka listów wiarogodnych, opisujących rozmaite sposoby łowienia obałamuconych w potrzaski hańby. Niejaka Józefa Szenkowska, szwaczka, donosi, iż 28 sierpnia ona i jeszcze dwie kole-

żanki: Anna Boglowska oraz Anna Pilśniewiczówna z namowy Hersza Rubinsteina z Ostrów (miasto w W. Ks. Poznańskiem, odległe o 3 mile od Kalisza) udały się do Bremy, skąd miano je zawieźć do Rio-Janeiro. Ów Rubinstein towarzyszył im aż na pokład okrętu „Wirginia,“ dał im kontrakty, według których miały pobierać po 50 dolarów pensyi miesięcznej z życiem i mieszkaniem w magazynie jakiegoś francuza. Tymczasem był to podstęp; zawieziono bowiem dziewczęta do Buenos-Ayres i wszystkie trzy umieszczone zostały w domu rozpusty. Jedna znich, a mianowicie Anna Pilśniewiczówna z rozpaczy otruła się. Szenkowska wskutek interwencyi policyjnej wydostała się, lecz cierpi straszną nędzę i błaga swą opiekunkę o przysłanie pieniędzy, aby mogła wrócić do kraju. Wspomina ona jeszcze o dwóch towarzyszkach niedoli, swoich rodaczkach: Karolinie Majewskiej, córce rymarza z Częstochowy, wywiezionej jeszcze w r. 1889 z Sosnowca, gdzie była przy dzieciach fabrykanta Kuźnickiego piastunką i drugiej, Michalinie Wilczakównie, służącej z Będzina. Tę ostatnią namówił do wyjazdu jakiś Bernard Solick z Katowic.

Myśl ratowania nieszczęśliwych ofiar ciemnoty, szału i podłych namów nie zamarła, ale przyobleka się w czyn powoli. Mówiono o kilku tysiącach rubli przeznaczonych na ten cel przez hr. Ludwika Krasińskiego, słychać znowu o wyjeździe do Brazylii p. Glinki i księdza Z. Chełmickiego, wszystko to jednak dopiero się lęże i nie wiadomo, czy się ulęże.

Jeden z czytelników naszych przesyła nam godne uwagi tłomaczenie ruchu emigracyjnego, poczerpniętego z obserwacyi bezpośredniej:

„Przedewszystkiem mylną w poszukiwaniach obrano drogę, gdyż przyczyna złego nie leży po za granicami kraju. Jako rolnik wiem, że gdy wrzucę ziarno w nieodpowiednią glebę, zbiorę albo nędzne plony, lub nie zbiorę żadnych. Toż samo mamy i z emigracyą. W miejscowościach, w których warunki nie sprzyjały propagandzie, lud się nie rusza i pracuje na ojczystym zagonie, przeciwnie w innych emigracya wyludnia całe osady.

Przyjrzyjmy się majątkom ziemskim dotkniętym i niedotkniętym epidemią brazylijską, a wiele objawów przedstawi się nam jaśniej. Najłatwiej ulegają jej włościanie bezrolni: wyrobnicy i służba folwarczna, a dopiero pociągnięci ogólnym prądem — właściciele osad. To też na pierwszych należy nam zwrócić uwagę; zobaczmy ich więc w różnych folwarkach, przedstawiających typy całych grup podobnych.

1) Folwark zdewastowany: budynki rozebrane, inwentarza żadnego, słowem, zupełna ruina. Służby nie ma. Ostatnimi z pracujących byli ci, którzy ciągle liczyli, że przy ogólnym chaosie grabieży i oni przynajmniej część swej należności z gruzów wydobędą. Taki robotnik, w folwarkach zamożniejszych z niechęcią przyjmowany, przedstawia dla propagandy istotę najpodatniejszą.

2) Właściciel ma się ku upadkowi. Wierzyciele, nie chcąc, aby ich sumy spadły przy licytacyi, opłacają raty Towarzystwa. Służba o tyle otrzymuje ordynaryę, o ile Icek dozwoli; więc kradzieżą zaspakaja swoje niezbędne potrzeby. Robotnik zdemoralizowany przedstawia wcale niezły materyał emigracyjny.

3) Właściciel boryka się z przeciwnościami, którym podołać nie może. Służba otrzymuje wszystko, lecz nie akuratnie i w lichym gatunku. To też bieda jest tu ogólną, a apatya, podlana wódką, wydaje wcale dobre plony.

4) Właściciel bardzo zamożny, służba wszystko punktualnie i w dobrym gatunku otrzymuje, ale w administracyi niema ciągłości; właściciel bowiem, nie znając się na gospodarstwie i mieszkając przeważnie po za granicami kraju, daje posłuch plotkom, wpływającym na częstą zmianę zarządzających (przynajmniej co dwa lata). Administratorzy zaś zmieniają służbę, gdyż ci, co dla jednego byli dogodni, stają się uciążliwymi dla drugiego. Robotnik, zdemoralizowany ciągłymi przewrotami —przedstawia już gorszy od poprzednich żywioł emigracyjny, ale jeszcze niezły.

5) Majątki zamożne i średnie, w których służba wszystko regularnie odbiera. Sam właściciel lub wieloletni administrator zarządza, nikogo bez słusznych przyczyn nie wydala. Każdy pracujący świadom jest, że gdy swoje obowiązki spełni, może całe lata spokojnie mierny, ale pewny mieć chleb. Tu propaganda mało ma do roboty, gdyż ziarna jej lubo mogą kiełkować, ale owoców do tej pory nie wydały i prawdopodobnie nie wydadzą.

Są to z natury szkicowo skreślone typy naszych gospodarstw, oraz ich robotników. Czy tu różne projekty, mające na celu powstrzymanie epidemii, mogą dużo zrobić? Tyle, co w czasie cholery dezinfekcya. Przeczytajcie im *Gazetę świąteczną* — wywierając ogromny wpływ na tych, którzy ją przedtem czytali, nie wywiera obecnie żadnego (naturalnie pod względem zatamowania ruchu emigracyjnego); widząc interes właścicieli ziemskich w zatrzymaniu służby, zupełnie odczytywanym listom i artykułom nie wierzą. Tak wielka niewiara jest do tych, którzy jej sobie pierwej nie zdobyli, że nawet, zdaje się, najlepszy z projektów, aby sprowadzić kilka rodzin wychodźców do kraju, może więcej, niż inne środki, wiele nie zdziała. Gdy zaczną opowiadać rzeczywiste dzieje raju brazylijskiego, zostaną nazwani odszczepieńcami i odmieńcami, którzy się dali przekupić i na pańską nutę śpiewają.

Jeszcze raz dotyka nas bolesna klęska, której przyczyna leży częścią w ogólnym upadku rolnictwa, częścią — w naszem niedołęztwie, lekkomyślności, a z nią ciężką nas obarczającą niesumiennością. Wszystkie środki doradzane uważam za drugorzędne w porównaniu ze sprawiedliwem i sumiennem obchodzeniem się z robotnikiem. Dajmy mu to, co mu się należy, niech myśląc o starości, nie widzi swej postaci z torbą na plecach a z kijem w ręku, ale starca zażywającego zasłużonego spokoju, a nie będziemy mieli epidemii brazylijskiej.

Stanisław Łużewski

PAMIĘTNIK.

Zawiedzeni.

Ile tylko wdzięków, środków kusicielskich posiadają reporterzy, tyle ich zużyli dla zbałamucenia Wisły. Jak zwykle o tej porze, groźna ta niewiasta, odrzuciwszy zimowe pokrycie, poruszyła się gniewnie w swem łożu, rozpuściła po za jego krawędzie bujne warkocze, ale do szaleństw uwodzicielom namówić się nie dała. Daremnie usiłowali oni oddziałać na nią za pomocą „suggestyi,“ daremnie wskazywali jej najbliższe ofiary i kierunki wylewu, daremnie psuli jej opinię zmyśleniami — nic nie pomogło. Naturalnie, gdyby wąż, mający, jak ona, 1050 kilometrów długości, a 181,700 kilometrów kwadratowych powierzchni, targnął się w morzu, wzburzyłby je i opryskał brzegi potokami wody. Więc i Wisła po przebudzeniu się ze snu zimowego musiała w kąpieli wiosennej oblać swe nadbrzeża, a ludziom na niej wyrządzić szkody, „olbrzymich klęsk“ jednak —jak to zapisano na jej rachunek — nie sprowadziła. Co o jej „wściekłych miotaniach się“ ogłoszono — było albo namową, albo obmową reporterów. Nie mogąc jej nakłonić do wybryków, zemścili się plotkami i potwarzą. Dziś zaś, obliczywszy skąpe wiersze swoich tragicznych doniesień, klną oni w duszy oporną:

— Bodaj cię niegodziwa Syreno djabli na wieki zakuli w pancerz lodowy! Od lat kilku co wiosnę, przerywając planty kolejowe, topiąc ludzi i zwierzęta, odłamując kawały lądu, dawałaś reporterom sposobność do obfitego zarobku. A cóż teraz? Ogarnęła cię jakaś głupia pruderya i wspaniałomyślność! Zamiast, rozpasawszy się, pohulać jak prawdziwa bachantka, odniosłaś do morza stłuczoną pokrywę jak skromna bandiarka galar gipsu. Jeżeli ty wielka wylewasz tyle, co pęknięta beczka, jakże mogą pozwolić sobie żywszych pląsów twoje małe dzieci — Bug, Wieprz, Narew lub Pilica! Wstydź się „królowo rzek naszych“! Ludzie u nas już doszli do tego rozumu, że zalecają zbytek, ażeby uratować dochody kupców, a ty nie rozumiesz, że powinnaś szerzyć zniszczenie dla dobra reporterów? Czy zapomniałaś, jak nam było przyjemnie i korzystnie, gdyśmy opisywali klęski, rozwozili statkami i łodziami żywność, rozdzielali składki?. Wstrętna tegoroczna wstrzemięźliwość twoja pozbawiła nas tej rozkoszy i zysku, wytworzyła przykład, który bodajby nie był zaraźliwy. Bo gdy zechcą cię naśladować ogień, zbrodnia i wszelkie występki, gdy wzorem żywiołów natury wyszlachetnieją ludzie, cóż my historycy i protokoliści życia poczniemy? Zanurzymy się chyba w twoje nurty!

Taką skargą jęczą dusze reporterskie po obecnym karnawale Wisły, który stanowił dziwną sprzeczność z karnawałem Warszawy i zawiódł nadzieje jej „sylfów.“ *O.*

Osłoda życia.

Jeżeli co kochamy mocno i niezmiennie, bardziej niż dostatek, honor, rozum, chwałę, to—zabawę. Ścigamy ją przez cały dzień po ulicach, w miejscach spacerowych i teatrach, na koncertach i odczytach, nieraz nawet w kościołach. Gdy założono Towarzystwo myśliwskie, chociaż była mowa o zającach, przedewszystkiem jednak utworzono klub. Towarzystwo muzyczne dostarcza zabawy, ale nieurozmaiconej, więc na ostatniem zebraniu jego członków strzeliła myśl dokonania reform w kierunku klubowym. Towarzystwo wioślarskie również istnieje dla rozrywki, ale także jednostajnej, więc na rocznem zgromadzeniu domagano się wprowadzenia gry karcianej. Pogrzebano zaś te projekty raczej przez wzgląd na przyzwoitość, niż potrzeby większości. Gdybyśmy bowiem chcieli dogodzić szczerej naszej woli, wszystkie stowarzyszenia, instytucye, galerye, kaplice—zamienilibyśmy na resursy wintowe. Zielony stolik — to obecnie główny nasz ołtarz, przy którym siedzielibyśmy od rana do wieczora. Co wart przybytek sztuki lub nauki (ile razy graliśmy w szkole „pod ławką“) bez kart! Co warto wogóle życie bez tej osłody! Kostrzewski opowiada w swym *Pamiętniku* następujący wypadek z życia portrecisty Barańskiego. Jeden z obywateli ziemskich, spotkawszy go w Poznaniu, zaprosił do siebie na wieś. Siedli do powozu i jadą. „Przypadkiem“ Barański znajduje w kieszeni karty, więc proponuje towarzyszowi „baczka.“ „W pół godziny“ wygrał od niego wszystkie pieniądze, a wreszcie konie i powóz. Wtedy szlachcic „zaczyna kląć i rozbijać się. Pasya mnie porwała — mówi Barański — krzyknąłem na furmana stój! — a ponieważ rozbijał się i klął dalej wyprosiłem go z *mojego* już powozu i puściłem trutnia piechotą, a sam kazałem zawrócić do miasta, gdzie natychmiast sprzedałem konie i powóz, bo mi już były niepotrzebne.“

Pomijam sens moralny tego zdarzenia, ale zwracam uwagę, że jeżeli malarz, jadący z przyjacielem na wieś, nie mógł godziny lub paru wytrzymać bez kart, to czy podobna żądać, ażeby na taką wstrzemięźliwość zdobywali się członkowie Towarzystwa wioślarskiego przez całe lata? *A.*

Towarzystwo muzyczne.

Ze świeżo ogłoszonego sprawozdania czerpiemy pocieszającą wiadomość, że instytucya ta rozwinęła siły i wytworzyła sobie warunki bezpiecznego życia. Ale jedno-

cześnie ukazuje nam się zwykły i szybki proces przygasania płomieni słomianego ognia, który ogrzewa wszystkie nasze instytucye. W r. 1871 miało Towarzystwo członków 1069, w 1872 — 1277, w 1873 — 1389, w 1879 — 1050, w 1880 — 803, w 1881 — 723, w 1882 — 731, w 1813 — 644; odtąd zaczęła ich liczba powoli wzrastać, a obecnie wynosi 710. Jest to niemal połowa cyfry osiągniętej w r. 1873. Na dochodach Towarzystwa nie odbija się ta różnica równomiernie, gdyż uszczuplona gromadka płaci składki, a ów dawny legion we wnoszeniu ich znacznie zalegał. Niedobór za drugie półrocze ciąży tylko na 97 członkach, podczas kiedy przedtem rozpościerał się na kilku setkach. Zresztą nie zapominajmy ani na chwilę, że Towarzystwo Muzyczne istnieje już lat 20, tj. przeszło granicę zwykłej śmiertelności naszych instytucyj prywatnych, które, jak wiadomo, nie odznaczają się długowiecznością kruków.

Komisya mieszkaniowa.

Ile nas jest w Warszawie? — pytanie to, rozstrzygnięte spisem jednodniowym przed dziewięciu laty dokładnie, było bardzo ciekawe, ale daleko ciekawsze jest inne, rozstrzygane obecnie zapomocą osobnej komisyi: jak mieszkamy? I w tej sprawie podjęli zadanie delegaci ze społeczeństwa, przeważnie młodzież. Czy im je utrudniali niepojmujący rzeczy mieszkańcy — jak twierdzi jeden głos, czy też nie — jak mniema inny, badać nie będziemy, zwłaszcza że najczynniejszy członek komisyi, adwokat Suligowski, nie każe wierzyć złym językom. W każdym razie gniazda ludzkie Warszawy zostały zrewidowane. Nie uprzedzamy wniosków, które będą wysnute z zebranego materyału, zdaje nam się jednak, że one nie wypadną pomyślnie. Z pewnością okaże się, że: 1) lepsze mieszkania nasze są raczej obliczone na pokaz, niż na wygody i zdrowie; 2) że „salony“ rozpierają się kosztem pokojów dla pracy i snu; 3) że lokale gorsze pozbawione są wszelkich warunków hygieny i wygody; 4) że najgorsze są brudnemi i ciemnemi norami, które wykazują zdumiewającą wytrzymałość organizmów ludzkich; 5) że wogóle mieszkania warszawskie należą do najdroższych w Europie. Słowem „gród syreni“ jest pokaźny, ale niewygodny, drogi i brudny. Te właściwości rzucają się w oczy przy najbardziej powierzchownem spojrzeniu; niewątpliwie też wystąpią one w sprawozdaniu komisyi. *P.*

Deszcz nagród.

Urządzona w Warszawie wystawa nasion nie okazała nam, w porównaniu z poprzednią, żadnych godnych uwagi postępów, a mimo to spadł na jej uczestników rzęsisty deszcz medalów, dyplomów i odznaczeń. Ustaliła się bowiem u nas zasada nagradzania czemkolwiek wszystkich bez wyjątku wystawców. Kto przyśle trzy nadgniłe kartofle, kwaterkę ziaren zwyczajnej kukurydzy lub grochu, może być pewien, że za ten owoc swych skromnych usiłowań będzie uczczony. Zasada ta, broniona zwykle celem zachęty do starań i pracy, nie wytrzymuje krytyki. Niejeden bowiem z mniemanych „hodowców,“ którzy poważnie żadnych doświadczeń i ulepszeń nie prowadzi, otrzymawszy za byle okaz nagrodę albo poprzestaje na tanim tryumfie, albo powtarza go sobie z równą łatwością. Powoli zaciera się — jeżeli już nie zatarło się — poczucie różnicy między zwyczajnem partoleniem, a umiejętną i pomysłową pracą. Dla gospodarczych interesów kraju byłoby daleko pożyteczniejsze, gdyby kilku lub kilkunastu hodowców zdobywało odznaczenia za swe istotne zasługi, niż to sypanie garści złotych, srebrnych, bronzowych i papierowych plew wszystkim. Taka metoda raczej zniechęca, niż zachęca, a w końcu doprowadzi do tego, że ktoś wyrwie ze swego pola kiść owsa, zawiezie do Warszawy na wystawę i otrzyma dyplom uznania. *W.*

Jowialscy na estradzie.

Kto uwierzył w dziewięć występów Modrzejewskiej i nie był ani domyślnym, ani cierpliwym, żałuje srodze, że narażał swe żebra przy kasie i przepłacał bilety, które dziś bez niebezpieczeństwa i „dodatków“ może dostać na to samo przedstawienie. Zapał bowiem ochłódł, a przytem kieszenie wypróżniły się. Chociaż Warszawa — gdy chodzi o teatr i koncerty — jest najbogatszem miastem w świecie i może płacić po 50 rs. za jedno krzesło, wyczerpuje się jednak kontrybucyami artystycznemi. Kilkadziesiąt tysięcy rubli w ciągu paru tygodni daje się odczuć. Nie o to wszakże nam teraz chodzi, ale o przypomnienie naszym deklamatorom estradowym, że powinniby nieco rozszerzyć swój repertoar. Modrzejewska wypowiedziała wiersz Ujejskiego „Hagar na puszczy.“ Słyszeliśmy go z jej ust dawniej niepamiętną ilość razy, słyszeliśmy go również z ust Deryngzanki i innych. Bez wątpienia „Hagar na puszczy“ jest utworem bardzo pięknym, ale powtarzany ciągle może obrzydnąć. Ta myśl, że artystka dramatyczna, wszedłszy na estradę i wiedząc, że znamy, jak Jowialski jeszcze raz każe nam wysłuchać „Hagar na puszczy,“ ta myśl przejmuje nas rozpaczą, wyrównywającą niemal boleści matki Izmaela. Doprawdy bierze chęć wraz z nią zawołać:

> Jehowa! Jehowa! och wody, och rosy,
> Kropelki, kropelki choć dżdżu!

Pozwólcie nam odpocząć po „Hagarze na puszczy“ i tym podobnych deklamacyach, zwłaszcza że naszą literaturę stać na urozmaicenie tej jednostajności. *M.*

Oj... oj!

Wielbiciele p. Modrzejewskiej między innymi upominkami ofiarowali jej nabyty za kilkaset rubli obraz S. Witkiewicza. Przebywający w Zakopanem artysta, zasłyszawszy o tem, zrzekł się publicznie za pośrednictwem *Kuryera warsz.* przyjęcia pieniędzy. „Spotkał mnie — pisze on — *największy zaszczyt*, o jakim mogłem *marzyć*, zaszczyt, który cenię *bardziej*, niż *najwyższe* dla malarzów przeznaczone *nagrody*... P. H. Modrzejewska jest dla mnie *krańcowym bezwzględnym ideałem artyzmu* (oj! oj!).“ Witkiewicz nie uważa tego za pogląd osobisty, ale sądzi, że „*żaden* z polskich malarzów nie postąpiłby inaczej.“ Cenimy w nim wiele sympatycznego człowieka, utalentowanego malarza i autora, ale musimy wyznać, że zrobił ów krok, który według przysłowia dzieli wzniosłość od śmieszności. Ani bowiem p. Modrzejewska nie jest „krańcowym, bezwzględnym ideałem artyzmu“ — wątpimy nawet, czy jest nim jakikolwiek geniusz sztuki twórczej, a cóż dopiero naśladowniczej — ani też ofiarowanie jej obrazu nie stanowi dla malarza „najwyższego zaszczytu.“ Gdyby przynajmniej Witkiewicz, umysł skądinąd krytyczny, był ograniczył ten wybuch do własnego serca, ale on jego lawę dostrzega w piersiach wszystkich malarzów polskich. I jakże się mylił! Żaden z nich bowiem nie uważałby tego za „najwyższy zaszczyt“ i przyjąłby pieniądze za swą pracę, kupioną na podarek dla znakomitej aktorki. Chyba byłby bogaty i mógł sobie pozwolić na taką wspaniałomyślność. *K.*

Pomniki.

Rada miasta Krakowa położyła nareszcie koniec niedorzecznemu a upartemu konceptowi „komitetu ściślejszego,“ który chciał umieścić Mickiewicza „na wylocie“ ul. Sławkowskiej i jednomyślnie uchwaliła postawić pomnik na rynku. Czy ów „komitet ściślejszy“ nie założy jeszcze jakiej apelacyi — orzec trudno. Jak po wyparowaniu wody pozostaje osad, tak w tem naczyniu po ulotnieniu się innych żywiołów pozostał K. hr. Przezdziecki, który dziś wypełnia sobą cały „komitet ściślejszy,“ a posiada niewyczerpany zapas uporu. Uczestnicy składki pomnikowej zapewne nie przypuszczali, że taka siła będzie kiedyś rozporządzać tem przedsięwzięciem i jego środkami.

Dzięki staraniom p. W. Mierzwińskiego zebrano fundusz na pomnik dla Moniuszki, który ma również wyjść z konkursu... zamkniętego. Co znaczy to zamknięcie? Do współubiegania się wezwano: Lewandowskiego, Syrewicza, Rygiera, Woydygę, Barącza, Welońskiego, Marczewskiego, Prószyńskiego, Brodzkiego, Marconiego, Guyskiego, a więc wszystkich utalentowanych rzeźbiarzów polskich z wyjątkiem Kurzawy. Z konieczności więc nasuwa się domysł, że wyznaczono konkurs w kole zamkniętem dlatego tylko, ażeby po za jego obrębem zostawić Kurzawę. Pojmujemy, że ten artysta, rozbiwszy publicznie swój nienagrodzony model pomnika Mickiewiczowskiego, mógł kogoś urazić, ale chyba najbardziej dokuczył sobie, a w każdym razie dogadzając swemu rozdrażnieniu, nie popełnił takiej sromoty, którąby usprawiedliwiała wyłączenie go od konkursu. To też dotykającą go pośrednio ex-komunikę uważamy za bardzo niewłaściwą i dziwimy się bardzo, że powołani rzeźbiarze przeciwko niej nie zaprotestowali.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Warszawska rada miejska dobroczynności publicznej zatwierdziła zapis, ofiarowany przez firmę braci Ginsbergów w sumie 1000 rs. na rzecz domu zebrania starozakonnych starców i sierot, dla udzielania z procentów wsparć lub nagród miejscowym wychowańcom, uczącym się rzemiosł lub ogrodnictwa.

— Członkowie warszawskiego Towarzystwa farmaceutycznego uradzili, aby każdy z pracowników aptekarskich z pobieranej pensyi wnosił do kasy po kopiejce od rubla, celem powiększenia szczupłych funduszów wsparcia dla podupadłych farmaceutów, oraz wdów i sierot po nich. Zwiększenie zasobów ma także na celu zapomogi dla słuchaczów farmacyi i opłatę wpisu w uniwersytecie tutejszym.

— W sferach rządowych podniesiono projekt rozszerzenia udziału publiczności w otwieraniu kolonij dla małoletnich przestępców. Główna inicyatywa w tej sprawie należeć będzie do rządu, który na ten cel przeznaczy rocznie pewną sumę.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zezwoliło Towarzystwu osad rolnych i przytułków rzemieślniczych przyjąć zapis zmarłego Rafała Brzozowskiego rs. 1200.

— W sprawie pracy więziennej spodziewane są następujące postanowienia: Komitety więzienne lub inspekcye nie będą dowolnie zniżać cen pracy więźniów, lecz szacować ją na równi z płacą, praktykowaną w danym okręgu fabrycznym, na którego terytoryum więzienie się znajduje. O cenach tych uwiadamiać powinni inspektorat fabryczny. Z otrzymanej płacy za pracę więźniów tylko $\frac{1}{3}$ może być przeznaczoną na korzyść ich osobistą; reszta zaś na fundusze więzienne, mające swe specyalne przeznaczenie.

— Na Pradze powstanie przytułek noclegowy z funduszu przytułków i wsparcia miejskiego.

— Węgierska izba magnatów przyjęła prawo o święceniu niedzieli w fabrykach i o obowiązkowem ubezpieczeniu robotników.

Wychodźtwo. W Poznaniu walne zebranie centralnego Towarzystwa gospodarczego uznało za jeden z najskuteczniejszych środków przeciw wychodźtwu zmniejszenie obszernych dzisiaj folwarków przez oddzielenie od nich parcel pod nowe osady. Chcąc myśl tę przeprowadzić, uchwalono wybór komisyi z trzech osób, któraby w porozumieniu z zarządem centralnego Towarzystwa gospodarczego obmyśliła prawodawcze i finansowe środki, ułatwiające reformę.

Szkoły. Minister oświaty wyjaśnia kuratorom okręgów naukowych, że nauczycielki domowe, chociażby podczas kursów gimnazyalnych nie słuchały wykładu języków cudzoziemskich nowożytnych, zdawać powinny egzamin tylko z języka łacińskiego w zakresie czterech klas gimnazyów męzkich, jeżeli życzą zostać uczennicami aptekarskiemi.

— Z polecenia władzy naukowej mają być sprawdzone kwalifikacye wszystkich nauczycieli i nauczycielek prywatnych w Warszawie i na prowincyi, gdzie przebywają w charakterze guwernerów i guwernantek. Osoby, które posiadają świadectwa nauczycieli elementarnych, a zajmują się wyższem kształceniem dzieci, będą usuwane od spełnianych obowiązków, a nadto pociągnięci do kar pieniężnych.

— Ogłoszono rozkaz o przemianowaniu szkoły morskiej na morski korpus kadecki.

— Ministeryum oświaty opracowywa ustawę organizacyi pensyonatów przy gimnazyach.

— W Krakowie przy instytucie anatomii porównawczej utworzono posadę demonstratora.

— Parlament niemiecki odrzucił petycyę o dopuszczanie kobiet do studyów uniwersyteckich.

— Na mocy postanowienia ministeryalnego profesorowie zwyczajni uniwersytetu warszawskiego, pp. Mikiaszewski i Okolski, pozostali na dalsze pięciolecie na zajmowanych katedrach.

Sprawy kolejowe. Ministeryum wojny ukończyło studya nad siecią kolei strategicznych mających za punkt wyjścia: Grodno, Grajewo, Mińsk, Ostrowiec i Kowno. Budowa niektórych linij rozpocznie się jeszcze w roku bieżącym.

— Stowarzyszenie kolei Kursko-Kijowskiej otrzymało koncesye na budowę dwu linij: od Nieżyna do Czernihowa, oraz — przez Przełuki i Piratyn.

— Na niektórych kolejach żelaznych projektowane są w pociągach osobowych kasy, w których podróżni będą mogli składać pieniądze i kosztowności dla zabezpieczenia od kradzieży.

Zjazdy. Drugi zjazd przedstawicieli młynarstwa odbędzie się w Moskwie w jesieni.

Komunikacye. Redakcya *Gazety sądowej* ogłosiła konkurs na artykuły w zakresie prawa cywilnego i kryminalnego. Nagroda po 25 rs. za każdy artykuł. Termin 1 czerwca.

— Oddział fotograficzny petersburskiego stowarzyszenia technicznego poruszył sprawę ogłoszenia konkursu na wynalezienie jaknajprostszego sposobu t. zw. suchego zdejmowania fotografii w czasie podróży.

— Pisma ruskie donoszą, iż do projektowanej wystawy narzędzi ogniowych włączono następujące konkursy: 1) najtańszy sposób budowania chat bezpiecznych pod względem ogniowym; 2) najtańszy i najprostszy sposób sporządzania płynu, masy itp., któreby nadawały odporność drzewu, słomie i innym materyałom budowlanym w razie ognia; 3) kompozycya, nadająca ogniotrwałość materyałom, dekoracyom, obiciom wagonowym itd.; 4) najlepszy typ dzwonka alarmującego; 5) najlepszy typ ręcznej sikawki; 6) najlepszy typ drabiny do ratowania podczas pożaru; 7) najlepszy podręcznik, objaśniający w sposób popularny, jak zapobiegać pożarom i ratować w razie ognia; 8) najlepszy typ latarni do użytku w składach materyałów wybuchowych i łatwo zapalnych.

Przemysł i handel. Rada państwa zatwierdziła projekt organizacyi „arteli" przemysłowych na zasadzie udziałów.

— Nowa taryfa celna podwyższa znacznie opłatę od sprowadzonego do Rosyi krochmalu, w celu podniesienia przemysłu krajowego.

— W ministeryum skarbu opracowano przepisy o ograniczeniu prawa żydów do brania udziału w pewnych przedsiębiorstwach przemysłowych. Przepisy mają na widoku głównie Królestwo Polskie i prowincye północno i południowo-zachodnie.

— W pow. będzińskim odkryto pokład galmanu.

— Ministeryum skarbu porozumiewa się z rządem serbskim w sprawie nadania prawa drobnym przemysłowcom z Rosyi sprzedaży towarów w Serbii, zanim ostatecznie układ handlowy zawarty będzie.

— Ministeryum dóbr państwa zaleciło, aby przy szkołach rolniczych oraz gospodarstwa wiejskiego mogły być urządzane specyalne oddziały hodowli drobiu.

— W Belgradzie ma powstać ruskie Muzeum handlowe. Największe firmy z Petersburga, Moskwy, Charkowa, Odesy i innych miast urządzą tam swoje stałe wystawy.

Wiadomości administracyjne. W Petersburgu poruszono sprawę uregulowania granic działów włościańskich w gub. południowo-zachodnich i usunięcia o ile możności rozmieszczenia gruntów w t. zw. szachownicę. W pracach tych przyjmowali udział generał-gubernatorowie warszawski i kijowski.

Zdrowie publiczne. W Tomaszowie rawskim otwarto ogólny szpital miejski na 10 łóżek. Koszty na budowę w sumie 60,000 rs. zebrano drogą składek. Najwięcej złożył hr. Jul. Ostrowski. 6,000 rs. Szpital będzie utrzymywany z funduszów kasy miejskiej.

Badania naukowe. Wysłany przez Petersburską Akademię nauk do Syberyi północno-wschodniej p. Jan Czerski ma w lecie r. b. zbadać szczegółowo pod względem geologicznym drogę z Jakucka do Górnego Kołymska; w ciągu zaś następnych trzech lat z biegiem rzek Kołymi, Idygireki i Jany aż do morza Lodowatego robić będzie badania geologiczne i archeologiczne, zbierać ciekawe okazy w zakresie mineralogii, botaniki i zoologii, nadto notować spostrzeżenia meteorologiczne.

Dla dzieci. P. Wiśniakowski wydał „Księgozbiorek obrazkowy," zawierający 12 oddzielnych powiastek po kop. 5. Jest to tanie, pomysłowe, ale mogłoby mieć lepsze malowanki.

Zmarli. Napoleon Ekielski, w Krakowie; literat.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panom Józefowi Ziel. w Petersburgu i Burz. w Obodówce. Ponieważ na to przedsięwzięcie nie ma dotąd zezwolenia władzy, więc tymczasem nadesłanych pieniędzy nie możemy zużytkować według wyrażonych życzeń. Jeżeli wszakże nadarzy się sposobność — nadamy im właściwe przeznaczenie lub zostawimy do rozporządzenia Panów.

Panu Jarosławowi L. D. Jest to dość zwykłe zrymowanie anegdoty, więc nie dla nas.

Tłomaczowi „Heddy Gabler." Przekonaliśmy się, że sąd naszego korespondenta był zupełnie słuszny. Jest to utwór literacko słaby. A przekład? Dość gdy zaznaczymy, że na 25 stronicach naliczyliśmy 29 razy użyte na końcu zdań: „co?"

A. M. Łatwiej zasypać źródło, niż talent. Więc jeżeli on w niej tkwi, to się wydobędzie. O ile zaś, mając za jedyną podstawę tylko list Pani, radzić możemy, mniemamy, że dla wykształcenia się w kierunku twórczości artystycznej powinna czytać wzorowych pisarzów — swoich i obcych. Oni w jej duszy rozbudzą siły.

Stałemu prenumeratorowi. Nietłomaczone.

T. B. Wydana naszym nakładem lub Iwaniukowa.

Prenumeratorce. W części żądanie to wkrótce speł[illegible]

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Prenumeratorzy PRAWDY otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

OGŁOSZENIA.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 8 Марта 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.